ISSN 1505-8476

informator

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

nr 167

kwiecień 2003

PRIMA APRILIS

Wprawdzie pierwszy dzień kwietnia minął już dawno – ale czas znów nawiązać do dobrej tradycji numerów primaaprilisowych (pamiętacie słynne „Papier do d...” z początków mego rednaczowania? a informację o poszukiwaniu chłopczyka do roli małego Krzysia w IV części „Indiany Jonesa”?).

Tym razem żartobliwa będzie nie treść, lecz forma: ten numer „Informatora” czytać trzeba – a przynajmniej należy – w drugą stronę, od prawa do lewa (prawie darowaliśmy Wam wariant sadystyczniejszy, czyli lustrzane odbicie). Dobrej zabawy!

W poprzednim numerze primaaprilisu nie było: zmiany kadrowe w Klubie są prawdą (jedynie portret Papiera wygląda mi na pracę anonimowego artysty z gdańskiego Długiego Targu latem AD 2002).

JPP



KWIETNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF i RADY STOWARZYSZENIA

Odbyło się 12 kwietnia 2003 roku. Ważniejsze z poruszanych spraw:

1. SPRAWY ORGANIZACYJNE

1. Prezes GKF Krzysztof Papierkowski przedstawił zakres obowiązków nowych wiceprezesów: Piotr Mazurowski – organizacja dużych imprez tj. Teleport, Nordcon oraz współorganizacja Polconu; Michał Szklarski: kontakty zewnętrzne.
2. Omówiono prośby Klubów Sprzymierzonych "Numenor" i "Fremen" o przedłużenie terminu wpłaty składki rocznej do maja 2003 r., wraz ze stosowną karą. Na wniosek odpowiedziano pozytywnie.
3. Zdecydowano o rozszerzeniu składu Rady Stowarzyszenia o trzy osoby: Jana Platę-Przechlewskiego i Magdalenę Kaczmarczyk (przez aklamację) oraz Roberta Szewczyka (przy jednym głosie wstrzymującym się).
4. Wyrażono zgodę na korzystanie do końca roku z biblioteki i filmoteki przez Klub Sprzymierzony "Bractwo Wtajemniczonych".
5. Wyrażono zgodę na korzystanie z biblioteki przez Adama Jakubowskiego z Klubu Sprzymierzonego "Fremen".

2. SPRAWY PERSONALNE

1. Zmiany funkcyjne

– Agata Kozłowska poinformowała o wybraniu jej na stanowisko przewodniczącego Komisji Rewizyjnej oraz o dołączeniu przez Komisję do swojego składu Władysława Wojtkiewicza.
– Marcin Szklarski został wybrany nowym szefem Działu Wydawniczego (przy jednym głosie prawie wstrzymującym się).
– prezes Klubu Lokalnego "Angmar" poinformował o zdjęciu ze stanowiska wiceprezesa "Angmaru" Wojciecha Ratajskiego.

2. Mianowanie kandydatów członkami zwyczajnymi GKF

"Angmar": Jarosław Wasielewski
"First Generation": Wojciech Segiet
"SNOT": Michał Chorzelski, Maciej Biesiada, Łukasz Kulik, Leszek Łapiński, Paweł Gorczyński
"Inglot": Agnieszka Adamek, Agata Smoleń

3. Skreślenia z listy członków za nieopłacenie składki za IV kw. 2003 r

"Angmar": Przemysław Baranowski, Wojciech Buda, Wojciech Ratajski, Piotr Rusin, Marcin Weylicki, Michał Wierzbicki
"First Generation": Piotr Bednarek
"SNOT": Łukasz Perzanowski, Tomasz Ptasznik, Przemysław Jurewicz, Maciej Jurewicz, Dominik Jonatowski, Marek Gnilański, Maciej Cywiński, Michał Jakubiec Marcin Turzyński, Filip Turzyński
"Inglot": Agata Ośrodek
"Brethren": Tomasz Hoga
"Ordo": Krzysztof Leszczyński
KCzK: Jerzy Moskal, Rafał Zaborowski, Piotr Ryś, Konrad Firyn, Michał Dagajew

3. SPRAWY FINANSOWE

1. Skarbnik GKF omówił stan klubowego konta.
2. Omówiono składkopłatność i stany subkont KL-ów i KS-ów.
3. Zatwierdzono 4 wnioski o dotacje osobowe:

– Joannie "Ashce" Ejsmont i Tomaszowi Świderskiemu przyznano po 50 zł na pokrycie części kosztów wyjazdu na Pyrcon;
– Agacie Kozłowskiej – dofinansowanie kosztów podróży na Conquest;
– Bogusławowi Gwozdeckiemu – pokrycie kosztów wyjazdu jako przedstawiciela GKF na posiedzenie Związku Stowarzyszeń "Fandom Polski" w Katowicach (przy okazji Seminarium Literackiego).

4. SPRAWY WYDAWNICZE

1. Omówiono sprawę wydania numeru specjalnego "Informatora" z nowym statutem i regulaminami klubowymi.
2. Omówiono sprawę wydania w ramach "Komiksu Czerwonego Karła" komiksu Jana Platy-Przechlewskiego "Wampiurs Wars".

5. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ

1. Przedstawiono protokół z kontroli Sekcji Fanzinów Działu Bibliotecznego. Stwierdzono, że sekcja znajdowała się w stanie ogromnego zaniedbania, a prace Komisji miały charakter głównie porządkowy.
2. Zapowiedziano, że następne kontrole odbędą się kolejno w Dziale Filmowym, Dziale Kolportażu i (ponownie) w Dziale Gier Strategicznych.

6. IMPREZY

1. Nordcon 2003 – Piotr Mazurowski przedstawił sprawozdanie z przygotowań do Nordconu, w tym wyniki wyjazdu do hotelu "Hutnik".
2. Przedstawiono sprawozdanie z przygotowań do Teleportu.
3. Przedstawiono sprawozdanie z przygotowań do Polconu 2003.
4. Omówiono możliwość zorganizowania wspólnej imprezy przez "Angmar" i inne Kluby Lokalne.
5. Omówiono sprawę pomocy w zorganizowaniu imprezy szkolnej Klubu Sprzymierzonego "Bractwo Wtajemniczonych" na Niedźwiedniku.

URODZINY

...ponieważ ten numer „Informatora" jest na odwrót – aż boimy się życzyć Wam, drodzy czerwcowi Jubilaci, czegokolwiek dobrego...

ALE ZARYZYKUJEMY!

3 Grzegorz Malik
5 Jacek Inglot
9 Jarosław Dekowski
Weronika Morawiec
10 Tomasz Biliczak
Małgorzata Janiszewska
11 Sławomir Wróblewski
13 Wojciech Segiet
15 Jacek Kamiński
16 Marek Dąbrowski
21 Marta Witkowska
22 Andrzej Trzepałka
27 Błażej Rajkowski
29 Krzysztof Pezena
30 Dariusz Wojtczak





Miejsce konwentu: Zespół Szkół Łączności, Podwale Staromiejskie 51/52, Gdańsk
Termin: 4-7 lipca 2003
Akredytacja: – 30zł do końca maja ; – 40zł po tym terminie;
– 15zł jednodniówka; – 25zł/osobę: grupy 10 - osobowe lub większe, które wpłacą akredytację do końca maja
Noclegi: Na terenie konwentu noclegi – wliczone w koszty akredytacji – w salach szkolnych. Niezbędne własne śpiwory i karimaty. Do dyspozycji będą prysznice z ciepłą wodą. **Dla wygodnych**: noclegi w pokojach w internacie (w sąsiednim budynku), koszt 20 zł/osobonoc. Osoby chętne do nocowania w internacie muszą przysłać zgłoszenie do 20 czerwca - po tym terminie nie gwarantujemy zarezerwowania noclegów.
Wyżywienie: we własnym zakresie, szkoła jest w centrum miasta, blisko do sklepów i barów, oprócz tego są pizzerie na telefon.
Pieniądze należy wpłacać na konto Gdańskiego Klubu Fantastyki:

PKO BP I/O GDYNIA nr 98-10201853-102332412

Na przelewie prosimy opisać, czego dotyczy (ilość osób, nazwiska, czy przelew dotyczy akredytacji czy noclegów). Zgłoszenia prosimy przesyłać na adres:
Kontakty:
Koordynator: Joanna "Ashka" Ejsmont, e-mail epuzer@gildia.com, tel. 608 507 925
z-ca koordynatora: Piotr Mazurowski, e-mail:
P.Mazurowski@drotest.com.pl, tel 601 173 742

ZGŁOSZENIE UCZESTNICTWA
w III Ogólnopolskim Konwencie Miłośników Fantastyki TELEPORT 2003

Imię i nazwisko	
Nazwa i numer dowodu tożsamości	
Adres zameldowania	
Adres do korespondencji	
Telefon	
E-mail	
Przynależność klubowa (jeśli jest)	

Zamawiam noclegi w internacie:

4/5 lipca	5/6 lipca	6/7 lipca	7/8 lipca

Chciałbym znaleźć się w pokoju z:

……………………………………………………………………………

Zgadzam się na wykorzystywanie moich danych osobowych do celów ewidencyjnych i meldunkowych na konwencie TELEPORT 2003.

data podpis

63. Światowy Konwent Fantastyki WORLDCON-Interaction 2005

Czas: 4-8 sierpnia 2005

Miejsce: Glasgow, Szkocja, Scottish Exhibition and Conference Center (to samo, co w 1995 roku; zostało jednak znacznie przebudowane, dodano nowe skrzydło z salą na 3000 osób oraz licznymi mniejszymi. Centrum można obejrzeć dokładniej na stronie www.secc.co.uk.

Goście honorowi: Greg Pickersgill, Christopher Priest, Robert Sheckley, Lars-Olov Strandberg, Jane Yolen.

Koszt: - akredytacja pełna (attending): 75 funtów
- akredytacja wspierająca (supporting): 30 funtów

Komitet Organizacyjny Worldconu, uwzględniając wysokie ceny akredytacji (których jednak nie da się obniżyć) zaproponował plan wpłacania pieniędzy na raty. Polega on na tym, że najpierw wpłacamy za członkostwo wspomagające (supporting membership), po czym w trzech kwartalnych ratach różnicę między członkostwem wspomagającym i pełnym. Zaletą tego rozwiązania jest to, że cena nie wzrasta i pozostaje taka, jak w chwili pierwszej wpłaty.

Podane wyżej ceny obowiązują do 30 maja 2003 r.; oznacza to, że **do końca maja należy wpłacić 30 funtów**, a potem **co trzy miesiące kolejne raty, mianowicie: 20, 20 i 5 funtów**.

Wpłaty przyjmowane są w złotówkach, wg aktualnego kursu bankowego.

Informacje i wpłaty:
Adres: Piotr W. Cholewa, ul. Szafirowa 1/24, 40-762 Katowice; pwc@skf.org.pl.
Konto: PKO BP COI nr 50 10205558 1111 1189 7000 0025 (koniecznie z dopiskiem GLASGOW 2005).
WWW: http://www.interaction.worldcon.org.uk/

Katowickie Seminarium Literackie „ŚWIATY ALTERNATYWNE”

Jak co roku, Śląski Klub Fantastyki organizuje seminarium literackie, które tym razem poświęcone będzie tematowi "Światy alternatywne" - alternatywnej historii, teraźniejszości i przyszłości. Interesuje nas literatura, film, komiks, gry nie tylko komputerowe. Mile widziane będą także wystąpienia niekoniecznie związane z głównym tematem, a poświęcone szeroko rozumianej fantastyce. Prosimy więc o ewentualne zgłoszenia referatów.

W programie przewidujemy wystąpienia pisarzy, krytyków, a także ludzi nie związanych z fantastyką zawodowo. Naszym gościem będzie Rafał A. Ziemkiewicz.

Tradycyjnie odbędzie się też mini-bankiet, podczas którego będą wręczone nagrody Śląskiego Klubu Fantastyki dla Twórcy, Wydawcy i Fana roku 2002.

Seminarium odbędzie się w Chorzowie, w hotelu „Skaut” na terenie Ośrodka Harcerskiego, w dniach **30.05-01.06.2003**. Rozpocznie się w godzinach popołudniowych w piątek, zakończy w niedzielę ok. 14.00.

W imieniu organizatorów serdecznie zapraszamy do wzięcia udziału w naszej imprezie. **Prosimy o jak najszybsze potwierdzenie chęci uczestnictwa** – telefoniczne (Elżbieta Gepfert, 0-32-206 35 09 lub 502 395 504), e-mailem (ela@skf.org.pl) lub listowne (ŚKF, ul. Pocztowa 16, 40-593 Katowice, skr. poczt. 502). **Koszt imprezy** to 120 zł - 40 zł akredytacja i 2x40 zł noclegi.

JAK POJECHAŁAM DO POZNANIA I PYR NIE JADŁAM

Program Pyrkonu śledziłam od początku, w miarę jak się rozwijał, dodając aktualizacje na stronie Gildii. Z każdą nową informacją coraz bardziej chciałam pojechać do Poznania. W końcu pożyczyłam pieniądze, spakowałam manatki, na ostatnią chwilę kserowałam ulotki Teleportu – i wreszcie znalazłam się na dworcu w Gdańsku. Razem z Michaelem władowaliśmy się do pociągu, gdzie zajął nam miejsca Student (Student, miało być przy oknie, a nie przy drzwiach!). Podróż upłynęła w radosnej atmosferze, płynnie mijał czas, za oknem przepływały krajobrazy, czyli – mówiąc bardziej wprost: piwko było dobre!



W pociągu opracowaliśmy, przy pomocy mapy i posiadanych informacji o środkach transportu, strategię dotarcia na miejsce konwentu. Na szczęście nie musieliśmy wdrażać tych planów w życie (kto wie, co by z nich wyszło), gdyż znajomy Michaela, jeden z organizatorów, zawiózł nas na miejsce wspaniałym bolidem marki Fiat Mniejszy lub Bardzo Mały p. Po zostawieniu zbędnych tobołów w szkole, tym samym bolidem (wydawał się teraz ciut większy, ale to pewnie przez brak tobołów) udaliśmy się do centrum Poznania. Spożyliśmy bardzo regenerujący i bardzo tłusty (przydało się to późnym wieczorem) makaron. Już bez kolegi i bez jego samochodu poszliśmy pozwiedzać Stare Miasto. Na całej starówce pełno wszelkiego rodzaju knajpek, pubów, kawiarni, restauracji. Ceny jakie zaobserwowaliśmy, były bardzo przyjazne. Niech się Gdańsk schowa i wstydzi! Ze swoimi nielicznymi lokalami na Długiej czy okolicach, i z kosmicznymi cenami w nich, nie dorasta nawet do pięt Poznaniowi. O ile Poznań ma jakieś pięty.

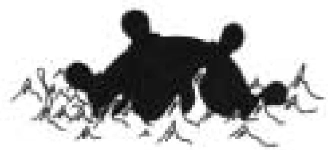
Zmęczeni zwiedzaniem miasta z naszym przewodnikiem Michaelem, który prowadził nas jakoś strasznie na około, wróciliśmy dziwnym (jak dla nas) tramwajem na miejsce konwentu, a raczej w jego pobliże. Idąc od przystanku zastosowaliśmy taktykę krowy (czy konia) – czyli po prostu udaliśmy się za tłumem. Rozsądnie lub nie – uznaliśmy, że taka liczba ludzi z plecakami może się udawać tylko na Pyrkon – czyli tam, gdzie my chcieliśmy się dostać. Na szczęście mieliśmy rację i nie znaleźliśmy się w jakimś odludnym, ciemnym i nieznanym miejscu; tylko szczęśliwie dotarliśmy do szkoły.

Michael zajął się od razu swoimi obowiązkami, czyli turniejem Magica. Myśmy ze Studentem, trochę zszokowani perspektywą nocowania w nie wiadomo której sali RPG, zaczęliśmy się włóczyć bez celu po terenie szkoły. Nie sprawdzaliśmy w praktyce, jak się śpi w sali, w której się gra, gdyż udało nam się wykombinować coś innego, ale o tym później.



Podczas tego włóczenia poznałam kolejnych bliźniaków fantastów, czy też fantastycznych bliźniaków – według uznania – tym razem pochodzących z Częstochowy (powinnam ich w zasadzie pamiętać z Nordconu, ale ludzie znający Nordcon powinni mi wybaczyć pewne braki w pamięci). Oczywiście w związku z tym, że to bliźniaki, musiałam coś namieszać. Braci Szklarskich z Gdańska do teraz nie rozróżniam i są już na mnie trochę wkurzeni za ciągłe pytania, który jest który. W sumie się im nie dziwię. Jeśli chodzi o braci Sokólskich z Białegostoku, to zawsze

myślałam, że jest tylko jeden i że tylko tak szybko się przemieszcza. Nawet kłóciłam się z kimś na ten temat. Na szczęście ten ktoś mi nie uwierzył i zaprezentował mi obydwu braci jednocześnie. Braciszków poznanych na Pyrkonie zobaczyłam obydwu naraz, co wcale mi nie pomogło w zauważeniu, że to są bracia, a co dopiero bliźniacy. Dopiero dnia następnego dowiedziałam o fakcie, przyjrzałam się braciom i sama osobiście puknęłam się w czoło - wystarczy bowiem jednemu z nich zabrać okulary i ściąć włosy (bez obaw, nie mam takiego zamiaru), żeby stali się trudni do odróżnienia. Jak widać, moja spostrzegawczość nie radzi sobie z bliźniakami; dobrze chociaż, że nie znam żadnych trojaczków.



Wracając do konwentu – zbawieniem okazała się szatnia (bezpłatna!), gdzie można było zostawić wszystko, może oprócz własnej osoby. Skorzystałam z tej możliwości skwapliwie i zostawiłam tam moje toboły, siebie zabierając w dalszy kurs po szkole. Zawędrowałam na spotkanie autorskie z Jackiem Dukajem, potem od razu na konkurs o WoDzie. Trochę się nim zawiodłam. Był zbyt chaotycznie prowadzony i raczej mało ciekawy. Z opisu wyglądał na bardziej interesujący. Przeniosłam się potem na prelekcję o domach inteligentnych, i to istniejących w rzeczywistości, a nie tylko w książkach s-f. Najprostszy przykład to dom Billa Gatesa. Podobno nawet w Polsce jest jeden taki. Oby tylko nie na Windowsie, bo jeszcze się domek zawiesi i np. nie wpuści mieszkańca do domu, albo ustawi chłodzenie w zimę. Niesamowite, czego to ludzie nie wymyślą. Kosztuje to masę pieniędzy, zżera olbrzymie ilości prądu, a wyłącza za nami światło w pokoju, żeby ciut go oszczędzić! Prelekcja wielce interesująca.

Po 23:00 toczyły się tylko sesje RPG, LARP-y, no i oczywiście masochiści, czyli karciarze i Warhammerowcy, grali aż do bólu. Natomiast w konwentowej knajpce w hotelu, znajdującego się po drugiej stronie ulicy, rozwijała się część nieoficjalna.

Nie mogąc znaleźć Studenta zajęłam się strasznie trudnym zadaniem, czyli wybraniem sobie punktów programu, które chciałabym jutro zaliczyć. Program był bogaty, aż za bardzo. Z żalem rezygnowałam z niektórych atrakcji. Niestety zostawiłam mojego klona w domu, a przydałby się, przydał. Student, gdy już zapoznał się z programem, obrał inną taktykę. Stwierdził mianowicie, że skoro jest tego tak dużo, i nie wiadomo co wybrać, to on nie pójdzie na nic. Trzymał się tej wersji do końca i tylko czasem zdradzał swoją koncepcję.



Ale jeszcze piątek nie minął, a ja nadal nie wiedziałam, gdzie mam spać. Nie zdążyłam się jednak nad tym dobrze zastanowić, nie zdążyłam nawet ustalić strategii na jutro, gdy pokazał się Student wraz z Marcinem (jednym z organizatorów). Oznajmił, że będziemy rozlokowani po pokojach, które są wynajęte w hotelu przez organizatorów. Nie ma to jak znajomości! Od razu dziękuję za przechowanie mojej osoby przez tę i następną noc. Zabraliśmy toboły i zostawiliśmy je, tym razem w pokojach. W tym, w którym ja miałam nocować, było coś wspaniałego, mianowicie prysznic! Student trafił gorzej, prysznica nie było, była za to bardzo intrygująca szafka, podświetlona od środka i zawierająca miniaturową kuchenkę i umywalkę. Robiła wrażenie. Szczególnie przez tą iluminację świetlną.

Udaliśmy się wszyscy do lokalu, gdzie już było wesoło i gęsto od dymu. Nasączanie i zabawa w tym miejscu – o dziwo! – trwała dosyć krótko, co nie oznacza, że wszyscy nagle poszli grzecznie spać. Obsługa tego miejsca wyprosiła ludność i zamknęła przybytek. Ludność spać nie chciała, więc zmieniła tylko miejsce pobytu i zaczęła okupować pokoje. Jako że nie były one zbyt duże, a w jednym z nich znajdowało się około trzydziestu ludzi, było trochę ciasnawo, ale raczej nikomu to nie przeszkadzało. Bawiących się ubywało stopniowo wraz z upływem czasu, ale o której się skończyło, nie pamiętam. Na pewno późno.

Rano wstawało mi się jakoś dziwnie trudno. Gdybym była rozsądna, to już od tygodnia chodziłabym spać grzecznie o 10:00 wieczorem. Jednak rozsądek jest pojęciem mi obcym, więc przyjechałam już zmęczona, a nocny program nieoficjalny wcale mi nie pomógł. Pomógł natomiast prysznic, niestety na krótko.



Konkurs Tolkienowski został przełożony o godzinę, mając więc trochę czasu odkryłam kuchnię. Wspaniałe to miejsce, gdzie można było wypić kawę, herbatę i zjeść gorący posiłek (bigos cudowny, jak domowy!), było niestety dosyć mocno ukryte. Trochę czasu zajęło mi trafienie do niego, ale jak już trafiłam – zamówiłam sobie kawę. Panie obsługujące strudzonych i zgłodniałych konwentowiczów były bardzo miłe i sympatyczne, ceny naprawdę niewielkie. Organizatorom należą się wielkie brawa.

Z kawą udałam się na opóźniony konkurs. Bardzo ciekawy, szczególnie jego druga część, podczas której odgrywało się różne scenki. Jeden z uczestników musiał udawać, jeśli dobrze pamiętam, niedźwiedzia i rozszarpać na strzępy postać narysowaną pieczołowicie na szarym papierze. Nie dotrwałam jednak do końca konkursu. Kawa nie pomogła, a zmęczenie wygrało. Poszłam więc do pokoju przespać się godzinkę.

Jako że śpiąc nic ciekawego nie zwiedziłam, więc żeby nie marnować miejsca napiszę o czymś innym. W ciągu całego konwentu, na szkolnym boisku, dawało pokazy bractwo rycerskie. Chciałam nawet wybrać się do nich, by postrzelać z łuku (w programie była taka możliwość), ale zawsze gdy obok nich przechodziłam walczyli, albo ich nie było. A tarczę do strzelania widziałam tylko raz, gdy była gdzieś przenoszona. Nie było za bardzo czasu, by postać przy nich dłużej, za dużo się działo w innych miejscach. Wszystkie spotkania i prelekcje miały sporą frekwencję, i w sumie nic w tym dziwnego, skoro program był tak interesujący, a – wg organizatorów – przewinęło się przez ten konwent około 700 osób!

Trochę bardziej wyspana udałam się na spotkanie autorskie Anny Brzezińskiej, które jak zawsze było interesujące. Po tym spotkaniu poszłam na konkurs Harry-Potterowski. Ciekawy był, owszem, ale jak dla mnie równie dobrze mógł być o wykorzystaniu PHP w tworzeniu interfejsów obsługujących bazy danych MySQL (terminy wzięte od znajomego informatyka, sama bym tego nie wymyśliła). Dokładnie tyle samo wiem na obydwa tematy. Podziwiam uczestników, że znali odpowiedzi na te szczegółowe pytania. Może dla miłośników były one proste, a ja przyznając do niewiedzy pogrążam się strasznie? Trudno, nie wyprę się tego. W pierwszej części konkursu każdy z uczestników dostawał dwie świeczki (miały być zapalone, ale niestety nie chciały współpracować z prowadzącymi konkurs i gasły momentalnie) za każdą prawidłową odpowiedź. Podczas drugiej części pierwszy uczestnik odpowiedziawszy na pytanie wskazywał kolejnego, wybranego przez siebie. Jeśli delikwent odpowiedział, wybierał



następnego, jeśli nie, zabierano mu świeczkę i wybór odpowiadającego wracał do poprzednika. Utracenie wszystkich świeczek eliminowało z konkursu. Konkurs miał trwać dwie godziny, po godzinie zmieniłam jednak miejsce i udałam się na prelekcję o fantastyce religijnej i teologicznej. Niestety był to błąd. Prowadzący był raczej słabo przygotowany i kojarzył mi się raczej z nudnym wykładowcą. Lepiej bym zrobiła zostając na konkursie, ale nie chciałam ponownie wchodzić, by nie przeszkadzać uczestnikom. Na szczęście była to jedyna prelekcja na tym konwencie, która była nudna. Nie bardzo wiedząc, gdzie się udać – wszystko już się pozaczynało, a wchodzenie w połowie nie ma dużo sensu – zgodziłam się z pomysłem mojego pustego żołądka i poszłam go napełnić wspomnianym wcześniej wspaniałym bigosem.

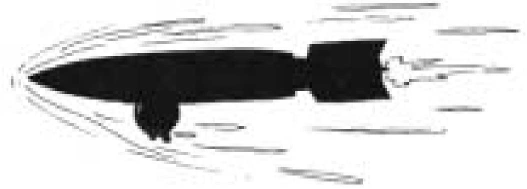


Pełna nowych sił zawitałam na kolejne spotkanie z Anną Brzezińską, tym razem dotyczące debiutów i wydawnictw. Brzezińska opowiedziała, jak wygląda od strony wydawnictwa praca związana z oceną i decyzją o druku lub odrzuceniu danej książki/opowiadania. Dała też konkretne wskazówki dla młodych literatów, jak ułatwić życie wydawcom i jak mieć większe szanse na wydanie własnej książki. Porady dotyczące pisania wzięłam sobie do serca i w efekcie tego wielokropka, tak krytykowanego przez Brzezińską, użyłam tylko raz (i będę się wykłócać, że on tam naprawdę musi być), a tekst przed zamieszczeniem na stronie dałam do sprawdzenia kilku osobom. Nie planuję jednak próbować nic wydawać, wolę pisać do szuflady. Mam trochę (chyba) samokrytyki i litość dla wydawców – i nie będę ich skazywać na czytanie moich wypocin. Niestety dla Was, czytelników tej strony, litości nie mam, o czym świadczy dobitnie ta relacja.

Po tym spotkaniu zajrzałam na chwilę do sali obok. Widok, który ujrzałam, tak mnie zaskoczył, że tylko popatrzyłam chwilę i uciekłam. Gromadka fantastów siedząca przy stolikach ustawionych na środku sali, grzecznie składająca z papieru (różowego głównie) statki kosmiczne robiła duże wrażenie. Intrygujący pomysł.

Dorwałam Studenta, który wrócił z miasta i nadal wprowadzał w życie swój plan nie odwiedzenia żadnej prelekcji. Teraz mi się przypomniało, że na bigos to ja poszłam w tym momencie, a nie po konkursie Potterowskim. Co ja robiłam wtedy? A zresztą – czy to ważne?

Usiłowałam namówić jednak Studenta do pójścia na prelekcje, wybierając Sabat Czarownic; ale zajrzał tylko do sali i zdezerterował. Ja zostałam. W sali było pełno ludzi. Prawie nie było miejsca na to, by usiąść choćby na skrawku podłogi. Ciemno, tylko parę świeczek ustawionych na środku sali. Klimat, jak na sabat przystało – mroczny. Można się było dowiedzieć, kim były czarownice, kto miał większe szanse być posądzonym o czary i dlaczego to robiono. Wynikało niezbicie, że większe szanse na to miały kobiety, a powody do posądzania, to głownie polityka, pieniądze i usuwanie przeszkadzających. Metody wyciągania zeznań, jak też testy na sprawdzenie, czy ktoś jest czarowni-cą, robią ponure wrażenie; szczegól-nie jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że stosowano je jeszcze stosunkowo niedawno. Dwugodzinne spotkanie skończyło się tylko dlatego, że po nim było kolejne. Prowadzące miały jeszcze dużo ciekawostek w zanadrzu.





Odleciałam z sabatu w kierunku nonsensu, czyli wyznań idioty na żywo. Idiotą miał być Jacek Sobota, ale podczas spotkania udowadniał, że idiotą jednak nie jest, albo przestał być. Wesołe salwy śmiechu i rechotu towarzyszyły jego wypowiedziom przez cały czas. Szkoda tylko, że pomysłu starczyło tylko na połowę spotkania. O dziwo Student pojawił się na tym spotkaniu. Czyżby przyciągnął go temat spotkania? Na kolejne nie dał się namówić. Zresztą ja sama też na kolejne nie trafiłam. Gdzie nie zaglądaliśmy, było ciemno i ciasno. Najwi-doczniej tam, gdzie zaglądaliśmy, odbywały się punkty programu budzące największe zainteresowanie. Nie dostawszy się na koncert piosenek sarmackich Jacka Kowalskiego ani na Noc Trailożerców – poszliśmy na dół do Michaela, gdzie w spokoju wypiliśmy piwko. Znaczy się oni pili, a ja opijałam Studenta. Z ambitnych planów udania się na spotkanie z Kubą Rozpruwaczem... znaczy się, na prelekcję o Kubie, nie wyszło za dużo. To znaczy wyszło, ale niekoniecznie udział w prelekcji, chyba że siedzenie w knajpie można za takowy uznać. Od autorki prelekcji (wracałam z nią tym samym pociągiem) wiem, że spotkanie cieszyło się dużym zainteresowaniem i zostało nawet przedłużone. Po nim nie było już nic w planach, więc nikt ich nie wyrzucał z sali, a słuchacze byli zainteresowani tematem.

Ja tymczasem uczestniczyłam w tej mniej oficjalnej części konwentu, która była równie radosna i długa, jak dnia poprzedniego. Przy okazji zostałam z częstochowskim swetrem, który miał mnie uchronić od zimna, ale oprócz tego posłużył mi w nocy jako całkiem wygodna poduszka. Sweterek jest już wyprany, bodajże nawet suchy. Przywiozę, tak jak obiecałam, na Kontur w Białymstoku. Dziękuje za pożyczenie i uratowanie mnie przed ewentualnym zapaleniem płuc.

Usłyszałam całkiem ciekawe teorie na temat damskich torebek. To jest czysta fantastyka, taki worek bez dna, aczkolwiek działający tylko w przypadku, gdy obsługuje go kobieta. Dowiedziałam się też paru ciekawostek z Nordconu 2001. Pewien człowiek zgubił na basenie swoje ubranie (to był basen eko!), wyszedł więc z niego zawinięty tylko w ręcznik, mając nie wiadomo dlaczego przewieszone przez ramię cudze spodnie. Następnego dnia ubranie się znalazło – na basenie, a właściciel spodni odzyskał swoją zgubę. Kim był ów człowiek bez ubrania, nie powiem, nie będę aż tak wredna (mniej wredna mogę być). Ci, którzy byli wtedy na Nordconie, na pewno skojarzą osobę. Kronikarsko-sadystyczny obowiązek spełniłam, obiecałam że napiszę – i napisałam. A teraz mogę wracać do Pyrkonu.

Imprezka, tak jak i wczorajsza, przeniosła się po północy do pokojów i spokojnie trwała do późnych godzin nocnych, względnie wczesnych godzin porannych. Nad ranem odkryłam, zresztą nie tylko ja, zbrodnię przeciwko ludzkości. Zmiana na czas letni! Czyli spanie o jedną godzinę krócej. Ilość śpiących w tym jednym pokoju wzrosła do trudno obliczalnej. Z każdego łóżka widać było co najmniej dwie głowy, na podłodze pełno zwłok (w tym ja), nawet na fotelu ktoś spał. Ten ktoś – Karol mu chyba było – zapytany, gdzie się podziewał wczorajszego wieczoru, gdy go szukano przez dwie godziny, odpowiedział, że w łazience. A na pytanie, czemu, beztrosko powiedział "a co miałem robić?". Ustrzelił tym wszystkich obecnych. Straconą godzinę snu (dlaczego ja tak wcześnie wstawałam?) odrobiłam sobie później,



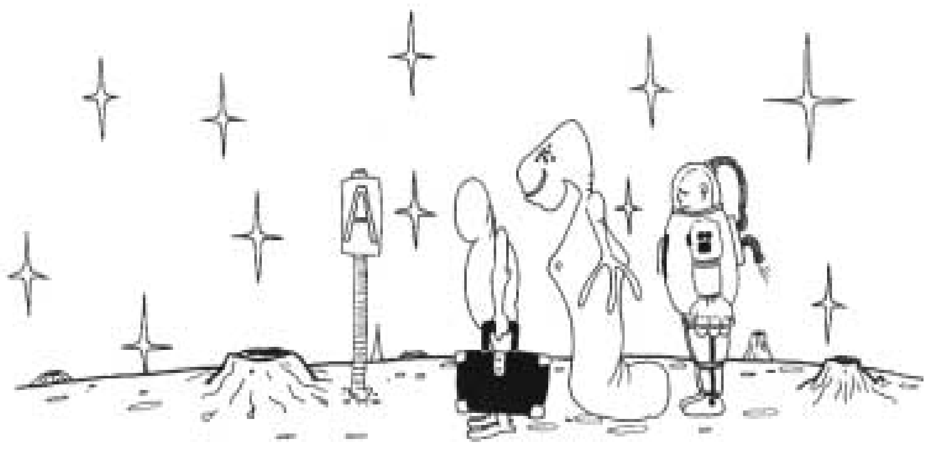
wybierając na miejsce odpoczynku dosyć wysokie szafki w korytarzu szkoły. Przy okazji stałam się z tego powodu lokalną atrakcją turystyczną. Nawet mi zdjęcie zrobili (zapewne w celach przyszłego szantażu).

Na konkurs filmowy nie udałam się z premedytacją. Już na poprzednich konwentach załamywałam się poziomem wiedzy uczestników. Był zbyt wysoki. Ja przy nich dostaję kompleksów. Po pięciu sekundach utworu poznać z jakiego filmu jest muzyka! Podziwiam, ale kompleksów nie chcę mieć, więc nie poszłam na konkurs. Na konkurs o Warhammerze nie poszłam natomiast z nieuwagi i niewyspania. A akurat w tym chciałam nawet uczestniczyć! Odwiedziłam ponownie salę bitewniaka, gdzie dalej rozgrywały się bitwy, tym razem w Warhammera 40.000. Na zakończenie udałam się na spotkanie dotyczące ewentualnego powstania nowego portalu fantastycznego o roboczej nazwie Pyrkon online. Byłoby to przeniesienie konwentu, by trwał cały rok, na łamy internetu. Pomysł prezentuje się ciekawie, zaplecze techniczne jest zapewnione. Tylko znaleźć ludzi i zaczynać. Życzę twórcom wiele zapału i powodzenia. Pomysły na pewno już mają, wystarczy popatrzeć na bogaty program konwentu.

Tu moje uczestnictwo w konwencie się kończy, gdyż trzeba było zdążyć na pociąg do domu. Konwent bardzo ciekawy, bogaty program. świeże pomysły. Nie widziałam nudzących się czy niezadowolonych ludzi. Organizatorzy też sprawiali wrażenie zadowolonych. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Oprócz prelekcji pełno różnorodnych sesji RPG, LARP-ów. Trwające bez przerwy gry w Warhammera, turnieje Magica. Wszystko położone stosunkowo blisko siebie. Nie trzeba było pokonywać olbrzymich odległości. Żałuję, że nie udało mi się uczestniczyć we wszystkim, co mnie interesowało, było to jednak kompletnie niemożliwe. Następnym razem wezmę tego mojego klonka z domu, ale nie wiem, czy tylko jeden wystarczy. Może sklonuję się jeszcze kilka razy.

Bilans wychodzi mi zdecydowanie na plus, pomimo straconego guzika od kurtki (jak znajdziecie, to prześlijcie mi pocztą), bankructwa i konieczności pożyczenia kolejnych pieniędzy, by móc wrócić do domu, koszmarnego zmęczenia i wygłodzenia (a w domu jak zawsze pusta lodówka). Pyrkon był udany i zamierzam wpisać ten konwent na stałe do mojego osobistego kalendarza imprez.

Joanna Ejsmont



PUBLICYSTYKA NORDCONOWA (I JEJ RECENZENCI) DO DU...ŻEJ POPRAWY!

Już w czasie trwania NORDCONie trafiało mnie licho, gdy uczestniczyłem w różnych spotkaniach, panelach itp. imprezach, ale nie było komu i jak wygarnąć. Jednak przeczytane ostatnio w Informatorach relacje zmusiły mnie do podjęcia tego wysiłku. Osobliwie wygląda w tych relacjach jedna ważka, jak śmiem twierdzić, sprawa. Chodzi o tzw. „program publicystyczny". Zdaniem „Ashki" określony jako bogaty; przez „Keleborna" uznany za profesjonalny (skoro tak obciąża budżet, to musi, że płaci się zawodowcom); przez „Neoinglota" nazwany „perłami"... Cóż, przyznam, że uważam to za daleko omijające prawdę.

Program ten był po prostu fatalny. Liczba osób, które zaszczycały swą obecnością prelekcje, była tylko odzwierciedleniem właśnie bardzo niskiego ich poziomu. Diagnozę taką potwierdza to, że na sztukę teatralną klubu „Strong", która była jedynym faktycznie świetnym elementem programu, przyszły tłumy. Teatr ten wyrobił sobie już dobrą markę i ludziska wiedzieli, na co warto przyjść. A jaką markę mają inne „firmy"? Poza wspomnianą sztuką widownia nie świeciła pustką tylko w czasie tzw. „panelu" na temat seksu zorganizowanego przez klub „Abyna". Mam przeczucie, że w tym drugim przypadku nie miało to związku z poziomem prezentacji, ale jest to mimo wszystko łatwe do zrozumienia: temat atrakcyjny, a grupa organizująca jeszcze nie znana. W innych przypadkach, widać już wszyscy wiedzieli, że picie piwka w pokoju będzie ciekawsze.

Dlaczego, mimo takiego potencjału i możliwości technicznych, nie można zrealizować naprawdę ciekawego i bogato ilustrowanego referatu, który zapłodniłby do gorącej dyskusji i pozostał w pamięci przez długie lata? Na miejscu są przecież rzutniki slajdów czy komputerowe, a nikt z nich nie korzysta. Są też w GKFie liczni ludzie, którzy mogliby opowiedzieć bardzo ciekawe rzeczy, na tematy im bliskie. Są też zapraszani Autorzy – którzy przecież potrafią posłużyć się słowem. Jednak nie prowadzili prelekcji, a jeśli już, to byli nieprzygotowani. W ogóle, sprawiali wrażenie, jakby mieli już tego wszystkiego dosyć i w zasadzie nudzili się w stopniu takim samym jak nieliczna widownia. Może pewnym wyjątkiem była Ewa Białołęcka, która mówiła z charakterystyczną dla siebie pasją. Wszelako pomiędzy ciekawe informacje wrzucała wielkie głupstwa, co zdecydowanie obniżało poziom. Panowie Szklarscy nie zachwycili formą wystąpień. Mówili niewiele, z kartki i o rzeczach, na których się niezbyt dobrze znają. Kochani – żeby było interesująco, nie wystarczy wybrać temat. Trzeba się przygotować, i to nie tylko merytorycznie.

Najlepszym tego przykładem był wspomniany już „panel" zorganizowany przez grupę z klubu „Abyna". Wybrano salę w zupełności do tego celu nie przystosowaną – pomieścić ona mogła może 50 osób, a przyszło ponad 100. Na początku nie sposób było nawet wejść, a z tyłu nic nie było widać ani słychać, bo w dodatku nie używano żadnego nagłośnienia. Pod koniec za to, było tak gorąco i duszno, że większość nie zdzierżyła. Do końca dotrwało nie więcej jak 30 osób. Trudno się temu dziwić skoro trwało to chyba ze dwie godziny (odkąd przyszedłem, a sporo się spóźniłem!). Sposób prezentacji, to była normalnie makabra – monotonne czytanie z kartki, i to z trudem, bo nie pomyślano nawet o właściwym oświetleniu. A jak bez czytania, to znów kłopoty ze skleceniem jakiegokolwiek dorzecznego zdania. Kuriozalne były sceny, gdy właściwego cytatu poszukiwano przez parę minut, czy ostatnia część (na temat Złotej Jagody) – kiedy prelegent sam nie wiedział, co chce powiedzieć. Podobno był w takim

stanie, że na początku trzeba go było wnieść na salę. Inny znów mówca głos miał taki, jakby popijał ostro już od tygodnia i za chwilę miał zaniemówić. Naprawdę, Panowie i Panie, trzeba się troszeczkę przed wystąpieniem przygotować, i to nie przez picie hektolitrów piwa! Dodam jeszcze, że mimo użycia rzutnika multimedialnego, poza jednym wyjątkiem, nie pokazano prawie żadnych materiałów graficznych! Ten wyjątek, to referat o dewiacjach, który był na tyle chlubny, że relatywnie dowcipny. Poczucie humoru to chyba najmocniejsza strona tego całego spotkania – zabawny w treści byłby również referat o Gimlim i Legolasie, gdyby prelegentka potrafiła go lepiej, a choćby głośniej przedstawić. I jeszcze jedno – dlaczego prelekcja odbywała się o północy? Może gdyby miała miejsce jak to było planowane, po południu dnia następnego, państwo referenci byliby nieco trzeźwiejsi i potrafiliby mówić? A może chodziło o to, żeby nie zgorszyć stanem wykładowców bardziej wrażliwych uczestników..?

Warte przypomnienia jest jeszcze jedno spotkanie – z tłumaczami „Władcy Pierścieni". Czy nie można było poprosić o spreparowanie krótkich wystąpień wstępnych, które mogłyby ukierunkować dyskusję? Zamiast dobrze poprowadzonej rozmowy, mieliśmy do czynienia z licznymi wycieczkami w nie związane z tematem dziedziny i wątki osobiste co bardziej pijanych osobników z widowni. Powtarzam – takie spotkanie musi być przygotowane. To musi być odmienne od rozmowy w barku przy piwie. Tą metodą tylko marnuje się czas i możliwości zaproszonych mistrzów i oczekujących czegoś więcej widzów. Nie pierwszy raz odnoszę wrażenie, że praca osób organizujących „program publicystyczny" to para w gwizdek, a przyczyną jest brak profesjonalizmu, czy choćby poważnego potraktowania swoich zadań.

Może troszeczkę przesadzam i oczekuję zbyt wiele. Ale, na Apollina, czy inne bóstwo, nie można się zgodzić z cytowanymi na początku ocenami. Chyba, że coś–tam przeoczyłem. Jeśli ktoś widział coś zasługującego na cieplejsze słowa, to chętnie o tym przeczytam (choć wątpię, byłem na prawie wszystkich kulturalniakach). Dyskusja o kondycji tej warstwy NORDCONu jest po prostu nieodzowna – bo jest gorzej niż bywało, przy czym dominuje samozadowolenie, a zatem w przyszłości może być jeszcze gorzej. A zapewne uczestnicy, może poza „graczami", są gorąco zainteresowani bogatym i ciekawym programem. Może mniej byłoby wtedy gości „rozrywkowo-alkoholowych", ze wskazaniem na tych drugich, a więcej zainteresowanych fantastyką.

Bilbo

Odpowiedź Keleborna

Zatrzęsło, jak napisałeś prywatnie, zatrzęsło – choć bez zaskoczenia, bowiem ze wszystkiego tego zdaję sobie sprawę. Na wstępie od razu się zatem przyznaję do wszystkich zarzutów – ale zanim dojdę do szczegółów, najpierw dwie uwagi...

Zacznijmy od „opinii innych": Nie mam(y) wpływu na to, co inni piszą – zwłaszcza stwierdzenie pt. „program był chyba bogaty" z jednej z relacji może powodować najwyżej wzruszenie ramion. Ale tekst był, o poziomie wystarczającym – więc poszedł do druku. Ja zaś nigdzie nie uznałem programu za profesjonalny. Wręcz przeciwnie, jego amatorstwo wyłaziło ze wszystkich stron, i doskonale o tym wiem. Z perłami Neoinglota też się nie zgadzam, zresztą Noeinglot ogólnie bzdury krzykacze wypisuje.

Akurat nie zgadzam się co do przedstawienia, który było moim zdaniem nieco słabsze niż rok temu (choć dobre); ale to akurat najmniej ważne, bowiem zgodnie z tym, co piszesz, przyszła masa ludzi. Co do „panelu" Abyny natomiast – przede wszystkim sala filmowa była jedyną, w której mogła się odbyć prelekcja z rzutnikiem: w auli jest na to zbyt wilgotno. To było nie do przeskoczenia. Natomiast za treść panelu, wykorzystanie sprzętu i swój stan odpowiadają sami prelegenci – ja ze swojej strony, na życzenie, zapewniłem im rzutnik i na tym moja rola się skończyła.

Również za przeniesienie tego spotkania odpowiadają prelegenci – którzy stwierdzili stanowczo, że w sobotę, mówiąc oględnie, ich stan nie będzie wskazywał na zdolność do poprowadzenia spotkania. Chcąc nie chcąc – rozwiesiłem ogłoszenia...

Ale i to tylko jeden, skrajny przykład – wyjątek potwierdzający ogólną regułę. To prawda, program publicystyczny wypadł w tym roku wyjątkowo nędznie. Także z mojej winy; o czym dalej.

Złożyła się na to kilka przyczyn, a wszystkie raczyły się zwalić naraz.

Najważniejszy problem jest bowiem taki: w GKF-ie nie ma komu organizować programu publicystycznego. Mamy całą masę naprawdę wysokiej klasy karciarzy, RPGowców, Battle'owców, etc., etc. Ale pod tym względem jest nędznie: potencjalni „publicystyczni" to dosłownie kilka osób, które co do jednego były w zeszłym roku ciężko zapracowane. Dotyczy to także mnie: podjąłem się szefowania publicystyce, ponieważ nikt inny nie mógł się tym zająć; stąd i moja byle jaka prelekcja przygotowana na ostatnią chwilę. W dodatku w ostatniej chwili odwołano urlop Andrzejowi Puszkiewiczowi, który miał „załatwić" niemal połowę programu, a który jest w tym naprawdę znakomity – i w ten sposób cały program, który jeszcze miał szansę być choćby przyzwoity, całkowicie się „rozjechał". Spotkania musieli prowadzić zastępcy – czyli owi i tak zawaleni robotą bracia Szklarscy – mając na przygotowania kilka godzin. W takich okolicznościach nie sposób się do czegokolwiek przygotować porządnie.

Tak to właśnie wygląda – bida z nędzą, ostatecznie na konwencie znaleźli się dwaj ludzie, którzy jako jedyni mogli się w ogóle programem publicystycznym zająć, wspomagani przez jeden dzień przez trzeciego.

I stąd właśnie taki stan publicystyki, a nie inny. Wbrew opiniom z wcześniejszych konwentów, że „radziłem sobie ze spotkaniami nieźle", tym razem byłem po prostu kiepsko przygotowany. Przyczyną był potworny brak czasu – i zdawałem sobie z tego sprawę, że w takiej sytuacji nie powinienem się tym zajmować, ale po prostu nie było nikogo innego, kto mógłby to robić.

Tyle wyjaśnień – oczywiście z uznaniem zarzutów. Tak, masz rację – program publicystyczny wypadł fatalnie i zdecydowanie musi się zmienić. Z problemu zdajemy sobie sprawę i myślimy nad tym cały czas, ale wszystko się wciąż rozbija o problemy personalne, z nie mniej istotnym dodatkiem miejsca na zadupiu: w GKFie prelegentów właściwie nie ma, a gości trzeba do Jastrzębiej dowieźć i zwrócić im choć część kosztów.

W każdym razie dziękuję za spostrzeżenia – zawsze jest pomocne takie skrótowe ujęcie problemu. Uwagi zostaną wykorzystane.

Keleborn

Odpowiedź na odpowiedź

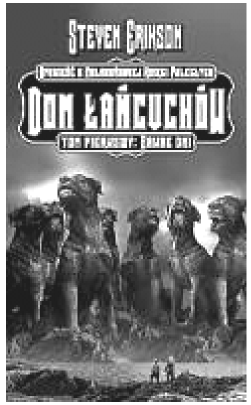
Dzięki za wyjaśnienia. Największy problem, to zrozumienie, że jest problem. Wiem, że są ludzie, którzy mogą ciekawie opowiadać, bo ich znam – muszą tylko zechcieć. Poza tym są też jeszcze inne kluby. Niech tam się zastanowią, jak mogą wzbogacić Nordconowy program. Jeśli zrobiły swe spotkania „Strong" i „Abyna", to mogą i inni. Wystarczyłoby pewnie na dwa spotkania na każdy dzionek? I eksploatować graczy i pokrewne nasienie: niech przygotują prelekcje propagujące ich systemy, omawiające główne idee, historię. Czy np. ktoś już opowiadał na Nordconie, co to LARP? Pokazywał prawiczkom, jak to się robi? GKF powinien koordynować takie działania i nadzorować, ale niech robią też inni.

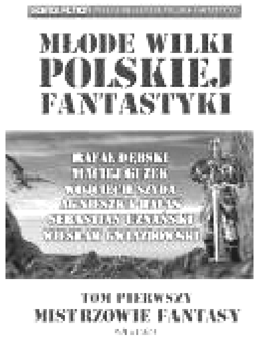
No i jeszcze na ostatek. Nie mówiłem, że przedstawienie było w tym roku lepsze, a jedynie, że dobre. Było ani lepsze, ani gorsze, było inne. O Abynowcach to myślę, że powinni pomyśleć o odwyku lub AA. A Tym, co pisali dobrze o programie w tym roku, ufundujmy po pudełeczku wazeliny. Może jako cykliczną nagrodę wręczaną na rozpoczęcie kolejnego konwentu.

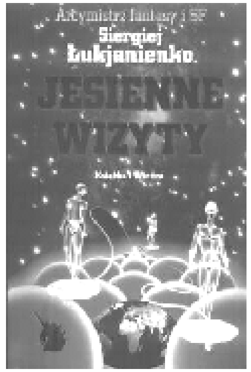
Pozdrówka od *Bilba*

Nowości biblioteki GKF w kwietniu 2003

Nowości biblioteki polskojęzycznej:







- Aldiss Brian W. „Mroczne lata świetlne". Solaris;
- Antologia „Młode wilki polskiej fantastyki". Ares 2;
- Barclay James „Cień w południe". ISA;
- Brite Poppy Z. „Kruk: Serce łazarza". Zysk i S-ka;
- Card Orson Scott „Płomień serca". Prószyński i S-ka;
- Cunningham Elaine „Srebrne cienie". ISA;
- Elliott Kate „Głaz gorejący". Zysk i S-ka;
- Erikson Steven „Dom łańcuchów". Zysk i S-ka;
- Gemmel David „Miecz w burzy". Zysk i S-ka;
- King Stephen „Czarodziejski kryształ". Albatros;
- Kosik Rafał „Mars". Ares 2;
- Lethem Jonathan „Kiedy wspięła się na stół". Zysk i S-ka: Kameleon;
- Łukianienko Siergiej „Jesienne wizyty". Książka i Wiedza;
- Norton Andre „Gwiezdny krąg". Amber;
- Novak Kate, Grubb Jeff „Ostroga Wyverna". ISA;
- Reid Thomas S. „Świątynia złych demonów". ISA;
- Rowley Christopher „Smok ostateczny". ISA;
- Salvatore R.A. „Bezgłosna klinga". ISA;
- Stirling S.M. „Generał: Miecz". ISA;
- Wasiliew Władimir „Wiedźmin z Wielkiego Kijowa". ISA;
- Weber David „Honor w rękach wrogów". Rebis;
- Willis Connie „Przejście". Zysk i S-ka.

Nowości Sekcji Komiksów:

- Adler, Piątkowski „Overload". Egmont Polska;
- Dringeberg, Jones „Sandman: Dom lalki". Egmont Polska;
- Ennis Garth, Ezquerra Carlos „Pielgrzym: Rajski ogród". Egmont Polska;
- Polch Bogusław „Ekspedycja tom 1". Muza;
- Rosiński, Van Hamme „Thorgal: Barbarzyńca". Egmont Polska;
- Zanotto Juan „Falka: Czerwony Kryształ". Amber.

Ponadto przeniesiono do Sekcji Komiksów 29 numerów czasopisma „Warhammer Monthly".

przyg. *misz*

KOMU DAĆ „ZAJDLA”?

Nagroda im. Janusza A. Zajdla jest coroczną nagrodą w dziedzinie fantastyki, przyznawaną przez miłośników fantastyki autorom najlepszych polskich utworów literackich. Nagroda przyznawana jest w dwóch kategoriach: powieści i opowiadania.

Każdy czytelnik fantastyki może wybrać od jednego do trzech utworów w każdej kategorii, **wydanych w poprzednim roku kalendarzowym**. Po pięć utworów, które zbiorą najwięcej głosów, znajdzie się na liście nominacji do Nagrody. Spośród nich uczestnicy POLCONu, czyli Ogólnopolskiego Konwentu Miłośników Fantastyki, dokonają wyboru Laureatów.

Więcej informacji o Nagrodzie Zajdla i POLCONach znaleźć można na stronach internetowych: zajdel.fandom.art.pl i polcon.fandom.art.pl.

Listę wybranych utworów należy nadesłać do 15 czerwca na adres internetowy zajdel@fandom.art.pl, lub poczta tradycyjną na adres: Związek Stowarzyszeń Fandom Polski, ul. Zamieniecka 46/25, 04-158 Warszawa. Przy zgłoszeniu należy podać imię, nazwisko i adres zamieszkania, a także ewentualnie adres korespondencyjny (jeśli jest inny, niż zamieszkania) i adres e-mail.

W celu ułatwienia wyboru podajemy listę polskich powieści fantastycznych wydanych w ubiegłym roku. Za miesiąc podamy listę opowiadań.

UWAGA: Poniższa lista utworów może być niekompletna. Nie ogranicza tym samym możliwości nominowania innych, niedostrzeżonych tutaj utworów, a wydanych po raz pierwszy w roku 2002.

Powieści

1.	Martin Abram	QUO VADIS. Trzecie tysiąclecie	S.K Fronda i Wydawnictwo Apostolicum
2.	Ewa Białołęcka	Kamień na szczycie	Runa
3.	Eugeniusz Dębski	Władcy nocy, złodzieje snów	Fabryka Słów
4.	Jacek Dukaj	Córka łupieżcy	Solaris (WA4)
5.	Jacek Dukaj	Extensa	Wydawnictwo Literackie
6.	Grzegorz Gortat	Cień Kwapry	Siedmioróg
7.	Krzysztof Kochański	Europa po deszczu	Solaris (WA4)
8.	Krzysztof Kochański	Mageot	MAG
9.	Jacek Komuda	Wilcze gniazdo	Fabryka Słów
10	Maja Lidia Kossakowska	Zwierciadło	Solaris (WA4)
11	Feliks W. Kres	Porzucone królewstwo	MAG
12	Tomasz Pacyński	Wrzesień	Runa
13	Andrzej Pilipiuk	Czarownik Iwanow	Fabryka Słów
14	Andrzej Sapkowski	Narrenturm	Nowa
15	Mirosława Sędzikowska	Gandziolatki	Nowa
16	Mirosława Sędzikowska	Wizyta u wiedźmy	Nowa
17	Paweł Siedlar	Czekając w ciemności	Fabryka Słów
18	Iwona Surmik	Talizman złotego smoka	Runa
19	Robert J. Szmidt	Toy Land	Science Fiction
20	Margaret Todd	Rok 2038	TWINS
21	Marek Utkin	Technomagia i smoki	Prószyński i S-ka
22	Andrzej Ziemiański	Achaja	Fabryka Słów
23	Andrzej Ziemiański	Legenda, czyli pijąc wódkę we Wrocławiu w 1999 roku	Nowa Fantastyka 10-12/02
24	Marek Ziomecki	Lato nieśmiertelnych	W.A.B.
25	Izabela Zych	Podziemny świat	DRAGON

przygotowanie listy: *Joanna Słupek* (www.esensja.pl)

NIUSY

PIERWSZE WEJŚCIE CHEWBACCY

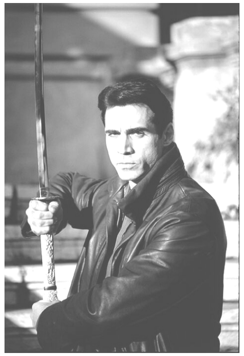
W Epizodzie III *Gwiezdnych wojen* ma się pojawić Chewbacca. Obawiam się jednak, że tu już nawet Wookie nie pomoże (niedawno *Mroczne widmo* zostało uznane w jakimś rankingu za najgorszą kontynuację filmową w historii kina).

jpp

EISTEDDFOD PRZEŁOŻONY

Konwent Eisteddfod, o którym informowaliśmy w poprzednim numerze, został przełożony na nieokreślony termin z przyczyn niezależnych od organizatorów. Poinformują oni o nowej dacie zlotu.

Ashka, MJS



NIEŚMIERTELNY PO RAZ PIĄTY

Studio Miramax rozpoczęło przygotowania do piątej części filmu „Nieśmiertelny”.

Na razie wiadomo, że będzie ona nosić tytuł „Nieśmiertelny: Źródło” („Highlander: The Source”), a w filmie nie pojawi się nikt z oryginalnej obsady.

POWRÓT OBCEGO?

James Cameron jest zainteresowany nakręceniem piątej części filmu „Obcy”. Stawia jednak warunek: musi ona być naprawdę przerażająca.

Zauważa jednak w wywiadzie dla kanadyjskiego magazynu „The Edmonton Sun”: „Problem z nowym »Obcym« jest taki, że trudno będzie uniknąć filmu za 150 milionów dolarów. Jeśli natomiast studio zdecyduje się wydać tyle pieniędzy, film musi być przeznaczony także dla dzieci.”

Zdaniem Camerona, kolejny „Obcy” z filmu akcji powinien stać się thrillerem psychologicznym.

MJS

ROBIN WILLIAMS W THRILLERZE SF

Robin Williams wystąpi w thrillerze „Final Cut” („Ostatnie cięcie”), w reżyserii debiutującego Omara Naima, który napisał też scenariusz. Akcja toczy się w świecie przyszłości, gdzie wszyscy ludzie mają wszczepiony chip nagrywający całe ich życie.

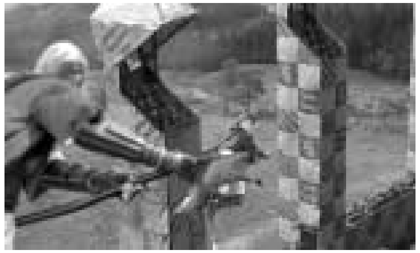
bulasty (www.gildia.com)

NAJDŁUŻSZY SERIAL KOMIKSOWY III RP

Jerzy Szyłak i wydawnictwo Mandragora przygotowują projekt o roboczej nazwie „Najdłuższy serial komiksowy III RP”. Będzie to seria komiksów do scenariuszy Jerzego Szyłaka, rysowanych przez wielu polskich grafików.

MJS

„CZARA OGNIA” DO DUPLIKACJI?



Czwarty tom przygód Harry’ego Pottera może stać się podstawą aż dwóch filmów.

Producent cyklu David Heyman powiedział, że podczas przygotowań do produkcji okazało się, iż materiał znacznie przekracza możliwości jednego filmu. „Zamierzamy nakręcić go jako całość i sprawdzić, jak to wszystko wypadnie. Jeżeli materiału będzie zbyt dużo, to rozdzielimy go na dwie części” - stwierdził.

MJS

„MATRIX” SIĘ ZBLIŻA!

Coraz bardziej zbliżają się amerykańska i polska premiera filmu „Matrix: Reaktywacja”, które nastąpią odpowiednio 15 i 22 maja.

Tymczasem wytwórnia Warner Bros. opublikowała już w Internecie oficjalny zwiastun filmu. Można go znaleźć pod adresem: http://www.comingsoon.net/movies/m/matrix2.php

MJS



„TERMINATOR 3: BUNT MASZYN” W CANNES

Film „Terminator 3: Bunt maszyn” zostanie pokazany poza konkursem podczas międzynarodowego festiwalu filmowego w Cannes. Pokazowi towarzyszyć będzie impreza zorganizowana przez MTV Europe.

Do kin „Bunt…” wejdzie 2 czerwca w Stanach Zjednoczonych. W Polsce wyświetlany będzie dopiero od 8 sierpnia.

MJS

POTTER WYGRYZA GROTTER

J. K. Rowling, twórczyni sagi o Harrym Potterze, wygrała sprawę sądową o zablokowanie publikacji w Holandii rosyjskiej książki „Tania Grotter i magiczny kontrabas” Dmitrija Jemieca.

Rowling zwróciła się o to do sądu w Amsterdamie. Jej prawnicy twierdzą, że „Magiczny kontrabas” to niemal dosłowna kopia „Kamienia Filozoficznego”.

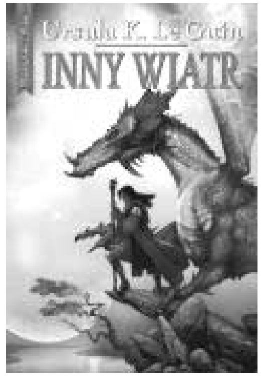
Fakt ten nie przeszkodził jednak książce w odniesieniu wielkiego sukcesu w Rosji: sprzedano tam pół miliona egzemplarzy książki o Tanii Grotter.

MJS

KOMIKS W „ŻAKU”

15 maja (czwartek) o godz. 20 w ramach cyklu "Komiks w Żaku", w gdańskim klubie Żak (ul. Grunwaldzka 195/197) odbędzie się spotkanie autorskie z rysownikami komiksowymi: Jakubem Rebelką i Benedyktem Szneiderem. W programie: pokaz rysowania na żywo, promocja najnowszych albumów obu twórców, dyskusja... Wstęp wolny, miła atmosfera zagwarantowana...

(www.gildia.com)



„INNY WIATR” JUŻ W KSIĘGARNIACH

Od 29 kwietnia w księgarniach jest dostępna szósta i jak na razie ostatnia część cyklu „Ziemiomorze” Ursuli K. Le Guin - nagrodzona niedawno World Fantasy Award powieść „Inny wiatr”.

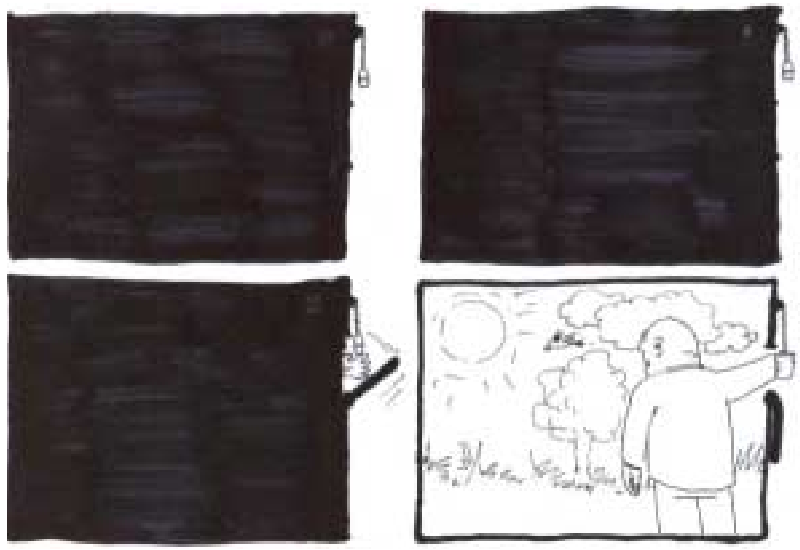
Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Prószyński i S-ka.

Edyta (www.gildia.com)

NOWE INFORMACJE O FESTIWALU FANTASTYKI

Pojawiły się nowe, szczegółowe informacje o programie X Festiwalu Fantastyki w Nidzicy. Można je znaleźć w Internecie, na stronach:
http://www.solaris.net.pl/new/festiwal.htm
http://konwenty.gildia.pl/rozne/festwal_nidzica_2003

MJS



Felieton z remanentów, czyli Zwierzęca obecność

Usilnie namawiany przez Naczelnego, a ostatnio nawet Samego Prezesa, do podesłania „Informatorowi" jakiegoś tekstu – szczęśliwie znalazłem w swoim archiwum dwa nieopublikowane wcześniej felietony. Pierwszy z nich trafił już do „OganZone", drugi posyłam pismu, w którym stawiałem swoje pierwsze publicystyczne kroki i któremu zawdzięczam, między innymi, status współpracownika „NF".

Chciałbym również niniejszym zdementować informację ze 166 numeru pisma, jakobym rzekomo ustąpił ze stanowiska szefa Działu Wydawniczego. Zarząd GKF nie dał mi takiej okazji, a o całej sprawie dowiedziałem się z listy dyskusyjnej klubu. To też temat na felieton, z rozpoczętego a niekontynuowanego cyklu „Krew mnie zalała, gdy...", którego powstaniem pozwolę sobie postraszyć „życzliwe" mi osoby. Nie oznacza/zapowiada to bynajmniej powrotu do stałej współpracy z „Informatorem", ale otwiera możliwość sporadycznych publikacji niżej podpisanego na jego łamach.

G.S.

Za jedną z głównych inspiracji fantazji (fantasy) uznał Tolkien pragnienie człowieka do porozumiewania się z całym światem, w tym z fauną i florą. Jego opowieści przywołują wcale liczne postacie istot o zwierzęcej czy roślinnej powierzchowności, które są sprzymierzeńcami lub przeciwnikami protagonistów (Orły, Entowie, wargowie, smoki, Stara Wierzba).

Oczywiście nie był on pierwszym, ani też ostatnim autorem, który wprowadził do swej twórczości tego typu motywy. Przed nim i po nim idą legiony twórców dostrzegających wdzięczność zwierzęcych czy roślinnych bohaterów. Według popularnych koncepcji antropologicznych "naturalne" postrzeganie świata towarzyszyło człowiekowi od zarania dziejów. Już ludzie pierwotni kształtowali swoją kosmogonię w oparciu o obserwacje przyrody. Naskalne malowidła, fetyszowe rzeźby i maski jednoznacznie pokazują, jak ważne miejsce w ich życiu pełniła otaczająca ich natura. Im bardziej się człowiek od niej oddalał, tym większe czuł wyrzuty sumienia z tego powodu. Biblijna koncepcja podporządkowania sobie ziemi, co imputują jej „życzliwi", nie zakładała przecież wytrzebienia roślinności i przegnania gdzie pieprz rośnie wszelkiego zwierza z jego najbliższego otoczenia. Niemniej trzeba było Franciszka, aby zrozumieć, iż to właśnie w przyrodzie najwspanialej objawia się chwała Boża.

Obrazy zwierząt i roślin zajmują w kulturze człowieka stałe i eksponowane miejsce. Rzadko jednak znaczą w niej same siebie. Satyryczne wykorzystanie fauny i flory wydaje się być nieodzowną cechą tworzonej przez *homo sapiens* sztuki. Ezop i jego naśladowcy – uprawiający bajkę zwierzęcą – portretowali pod ich postaciami ludzkie przywary. Inną funkcją zwierzęcych i roślinnych przedstawień jest przydawanie im znaczeń symbolicznych. Bogactwo sensów, które stoją za tą metodą, trudno wręcz opisać i nie sposób odmówić jej walorów estetycznych. (Bywa jednak, że w swych poszukiwaniach artyści posuwają się za daleko – przykład „Piramidy zwie-rząt" Kozyry jest najbardziej wymow-ny). Osobną sprawą jest także wykorzystywanie fauny w przekazach próbujących zmienić ludzką świadomość – „Ptaki" Hitchcocka.

Na tle dokonań „sztuki wysokiej" w omawianej dziedzinie fantastyka niczym szczególnym się nie wyróżnia. Podobnie jak ona – chętnie portretuje przedstawicieli fauny i flory, osobliwie lubując się w kotach. Przybiera w ich formy obcych („Ziemskie dziewczyny są łatwe"). Tworzy opowieści o zwierzęcych cywilizacjach, których bohaterowie mentalnie niewiele różnią się jednak od ludzi. W innych zwierzęta grają same siebie, ale wyróżnia je emocjonalny związek z ludzkimi postaciami (warto tu wspomnieć przede wszystkim „Chłopca i jego psa" – optymistyczną przypowieść o tym, że pies jest najlepszym przyjacielem człowieka, tzn. mężczyzny). Pamiętajmy też o „Dniu Tryfidów", który przestrzega przed zgubną wiarą w nieruchawość i brak krwiożerczych instynktów roślin.

Nic jednak nie może się równać z pewnym śmiałym projektem rosyjskiego artysty Olega Kulika „Rodzina przyszłości", którym ogłosił on w roku 2000 nadchodzący wiek epoką zalegalizowania „związków międzygatunkowych". Ten ekstremalny przykład obyczajowego postmodernizmu przebija pomysł Ellisona, który kazał swemu bohaterowi pożywić siebie i swego ukochanego psiaka zakochaną w sobie dziewczyną. Prowokacja Rosjanina przedstawia bowiem idylliczne obrazy współżycia ludzi i zwierząt, mieszkających w budopodobnych domach, wychowujących wspólnie potomstwo (własne?) i emanujących pełnią szczęścia. W komentarzach do swojej wystawy artysta wygłasza patetyczne przemówienia w stylu: skoro świat zaakceptował związki homoseksualne, a i pedofilia nie została oficjalnie wyklęta – dlaczego miano by zabronić człowiekowi szukania szczęścia u boku ukochanego czworonoga. Dożyliśmy zatem czasów, w których kultura – tak wrogo nastawiona do wszelkich przejawów konserwatyzmu i tradycjonalizmu – jedną seksualną aberracją usprawiedliwia drugą. W pogoni za coraz nowymi podnietami współczesny człowiek gotów jest naruszyć każde obyczajowe tabu, a im mniej naturalny wybiera sposób zaspokojenia własnych żądz, tym większą osiąga satysfakcję. Pochylając się nad tzw. „mniejszościami", próbując administracyjnymi metodami wymusić dla nich szacunek, nie dostrzegają koryfeusze tolerancji przepaści, ku której popychają cywilizację szarlatani Aquariusa, sprytnie wykorzystujący „szlachetność" ich intencji.

Jakkolwiek fantastyczna – wizja równouprawnienia związków ludzi ze zwierzętami nie jest całkowicie irracjonalna. Obserwując troskę z jaką ludzie odnoszą się do własnych i cudzych czworonogów, którym potrafią poświęcać więcej uwagi i serca niż relacjom z przedstawicielami własnego gatunku – boję się myśleć, co może z tego wyniknąć. Czyżby idea „międzygatunkowych stosunków" miała się okazać upiornym komentarzem do ludzkiej kondycji w XXI wieku?

Ogan

KOMENTARZ PREZESA DO WSTĘPU FELIETONU

Nowy Zarząd ma niezbywalne prawo dobierać na funkcje nowych, aktywnych ludzi. A kto był obecny na Walnym (szczególnie, gdy ta obecność była istotna – w przypadku osoby wybranej na delegata KL), ten o niczym nie musiał się dowiadywać z internetu.

Sequel czy kontynuacja?

Powyższy tytuł wymaga zapewne wyjaśnień. Sequel to kolejna część, samoistna, nierzadko powielająca schematy z poprzedniej części („Akademia Policyjna" czy „Harry Potter"). Natomiast kontynuacja musi być silnie związana z poprzednikiem. Wprawdzie sama się wybroni, ale dużo traci, gdy nie jest oglądana ciągiem („Imperium Kontratakuje" i „Powrót Jedi", czy „Władca Pierścieni" – to już drastyczny przykład). Odbiór „Kręgu 2" wzbudza taką właśnie wątpliwość: ciężko jednoznacznie stwierdzić, czy jest to sequel, czy kontynuacja.

Za pierwszą opcją przemawia pierwsza połowa filmu. Znowu pojawia się tajemnicza kaseta wywołująca śmierć. Śledztwo prowadzi para – mężczyzna i kobieta. Przynajmniej jedno z nich posiada zdolności paranormalne. A z drugiej strony autorzy wprowadzają do filmu kilkoro kluczowych postaci z poprzedniej części bez dogłębnych wyjaśnień, nie powtarza się też informacji zawartych w poprzedniej części. Podjęta zostaje też próba przedstawienia ostatecznego wyjaśnienia zagadki kasety.

Chmiel: Dlatego też uważam, że jest to kontynuacja. Bez obejrzenia pierwszej części będzie się ciężko zorientować, „kto, kogo i za co".

Odbioru filmu dużo nie zepsuje informacja, że „sprawcą" zabójstw jest negatywna energia, zgromadzona w złości przez Sadako. Bohaterowie udowadniają to w kolejnych dziwnych eksperymentach, nie tylko z pogranicza parapsychologii. Cały film zresztą w dużej mierze opiera się na parapsychologicznym „bełkocie", choć jest on przynajmniej w miarę spójny i prowadzi do przyzwoitego zakończenia.

Ceti: Ja w sumie cały ten bełkot „kupuję" – w końcu nie chodzi tu o film dokumentalny. Przy okazji tłumaczy on telewizję i kasetę wideo. Dlatego też jestem skłonny uznać film za kontynuację, bo w miarę sensownie tłumaczy wydarzenia z obu części.

Chmiel: OK, ale dlaczego klątwa pojawia się na kasecie wideo? Rozumiem, że w tak stechnicyzowanym społeczeństwie jak japońskie, telewizja jest głównym nośnikiem informacji. Jednak Sadako mogłaby atakować swoje ofiary bez pomocy telewizora i kaset wideo.

Uważni czytelnicy zapewne zauważyli, że do tej pory nic nie napisaliśmy o tym, w jakim stopniu film straszy. Przyczyna jest prosta: „Krąg 2" nie straszy prawie wcale. Zaletą poprzedniej części było zaskoczenie; „dwójce" tego jednak brakuje i niewiele jest momentów, kiedy można się naprawdę przestraszyć. A szkoda, po przecież po to na ten film poszliśmy.

Chmiel: Jednak trochę postraszył. W porównaniu z pierwszą częścią bardzo słabo, ale jednak ciągle jakiś poziom został zachowany.

Zakończenie filmu zdaje się sugerować kolejną część (w przeciwieństwie do pierwszej części). Uważam, że byłby to błędny krok. Twórcy powiedzieli już chyba wszystko, co mieli do powiedzenia, a stracili umiejętność straszenia. Zresztą film skorzystał na tym, że była to nowość, szczególnie dla tych, którzy nie oglądają japońskich filmów; teraz to już nie zadziała.

Ceti: Choć dlaczego takie barany muszą komentować japońskie litery? To zagadka większa niż zagadka kręgu.

Ceti & Chmiel

"The Ring - Krąg 2" *("Ringu 2"). Japonia 1999.* ***Reżyseria:*** *Hideo Nakata.* ***Scenariusz:*** *Hiroshi Takahashi na podst. powieści Kôji Suzukiego.* ***Obsada:*** *Miki Nakatani, Hitomi Sato, Kyôko Fukada, Fumiyo Kohinata, Kenjiro Ishimaru, Yuurei Yanagi.* ***Muzyka:*** *Kenji Kawai.* ***Zdjęcia:*** *Hideo Yamamoto.*

Votum Seperatum



Ceti: Tak więc nadeszła ta chwila. Wreszcie znalazł się film, co do którego nie udało nam się osiągnąć konsensusu. Na pytanie „Czy warto obejrzeć?" z mojej strony pada wstrzemięźliwe „chyba tak".

Chmiel: Z mojej strony pada wyraźne "nie".

Ceti: Tak więc tym razem recenzja będzie w całości dialogiem. Postaramy się przeanalizować poszczególne elementy i ustosunkować się do nich. Ciągle się łudzę, że choć trochę przekonam Piotrka.

Chmiel: Nie sądzę. Muszę się przyznać, że już powieść "Solaris" nie była nigdy dla mnie najlepszą z twórczości Stanisława Lema; ale to, co z niej zrobiono, jest straszne.

Ceti: Zacznę od linii fabularnej. Przynajmniej w mojej opinii oddaje ona sens książki. Za zaletę należy uznać sposób prezentacji przeszłości bohatera. Zakończenie jest wprawdzie zmienione, ale moim zdaniem pasuje, póki nie spodziewamy się czegoś trochę innego niż po książce, a duch powieści został przez scenarzystę oddany. Jedyne, na co mogę naprawdę narzekać, to tempo, które chwilami, szczególnie w okolicach połowy filmu, boleśnie zwalnia. Oczywiście jest przynajmniej jeden duży kiks, ale pozostawię go tobie.

Chmiel: Dlaczego część związana z pierwszym pojawieniem się replikanta jest tak strasznie skrócona? I dlaczego nie mówi się w filmie o trudności związanej z zaakceptowaniem takiej „osoby"? Od razu w zasadzie stawia się widza przed stwierdzeniem „oni są be i trzeba się ich pozbyć". A jeśli chodzi o zwolnienie akcji filmu... Ja prawie zasnąłem.

Ceti: Zapewne będę w mniejszości, ale nadal będę twierdził, że film jest przesączony niepokojem. Na pewne służy temu bardzo dziwna, nastrojowa muzyka, która wzbudzała we mnie nastrój zdenerwowania (co było akurat pozytywne w przypadku tego filmu). Do tego sceny snu, powierzchni Solaris, wspomnienia. Może się wczułem, może film do mnie trafił. Cieszę się z tego powodu i współczuję tobie, że nie odczułeś tego.

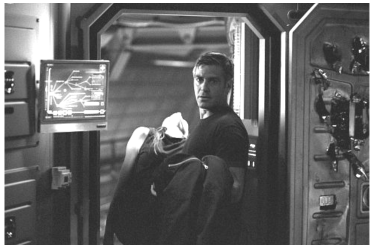
Chmiel: Nie ma czego współczuć. Po prostu nie widzę, jaki cel przyświecał twórcy tego filmu.

Ceti: Aktorstwu nie mam nic do zarzucenia. Nie będę oceniał „pupy Clooneya", nie leży to ani w sferze moich kompetencji, ani zainteresowań. Jednak moją ulubioną kreacją w tym filmie był inżynier pokładowy. Świetnie zagrana rola wprowadzała odpowiedni nastrój, czy to komedii, czy dramatu. A jednocześnie była wiarygodna i uzasadniona.

Chmiel: To prawda. Jednak potencjalnie rola i sam pomysł niosły ze sobą więcej możliwości, i nie zostały one nawet w części wykorzystane w filmie.

Ceti: Scenografia przywodziła na myśl film „2001: Odyseja Kosmiczna". Był to zapewne zamierzony efekt i całkiem słuszny, bo przecież filmy w pewnym sensie poruszają ten sam temat. Poetyka obrazu urzekła mnie już od pierwszych scen, szczególnie tych w kosmosie. Zresztą film jest wypełniony symbolizmem. Nawiązanie, które zrobiło na mnie największe wrażenie, to scena jakby wprost z Kaplicy Sykstyńskiej, gdy Bóg wyciąga rękę do Adama, choć w filmie one się w końcu stykają.

Chmiel: OK. To jest rzeczywiście znakomita scena. Ale jest tylko jedna!



Ceti: Soderbergh powiedział w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, że chciał zrobić film na miarę „2001: Odysei Kosmicznej”. Miałby to być film, po którym ludzie nie wiedzieliby, czy im się podoba, czy nie. Ja właśnie mam takie wrażenie. Dlatego jednak zachęcam do obejrzenia go, aby samemu postarać się pod-jąć decyzję. Z góry jednak zastrzegam, że nie jestem fanem Lema ani literackim purystą.

Chmiel: Ja tam nie wiem, co chciał zrobić Sonerbergh. Dla mnie ten film to ani ekranizacja powieści (zbyt wiele pominięć i własnych wstawek), ani romans (raczej kiepski wątek miłosny), ani przygodowa sf (akcja jest ślimaczo wolna). W zasadzie wygląda to jak produkcja pt. „jak Soderbergh czuje Lema”. I to by było w porządku, jednak nie nazywajmy tego ekranizacją!

Ceti: Zastanawiam się, czy istnieje wersja reżyserska.

Chmiel: Pewnie jest jeszcze bardziej nudna...

Ceti & Chmiel



„A mógł utonąć...”

„Ghost ship” to kawałek solidnego kina, a właściwie, można by powiedzieć, kawałek solidnego DVD, bo na kino jest jednak trochę za słaby. Nic mu nie brakuje, ale jest za słaby.

Oglądając film widz boi się, kiedy trzeba, próbuje rozwikłać zagadkę wraz z bohaterami, przeżywa z nimi chwile grozy. Aż tyle i tylko tyle. Po prostu solidny film. Efekty specjalne nie porażają, ale dobrze się wpasowują w cały film. Niewątpliwym atutem obrazu jest muzyka, która jest naprawdę rewelacyjna (do czego wrócimy jeszcze za chwilę).

Największą wadą natomiast jest zbyt szybkie pozbycie się dwuznaczności w przypadku niektórych osób (duchów). Psuje to nieco napięcie, gdy zagadki zbyt szybko się wyjaśniają. Natomiast postać Złego jest już dużo ciekawsza i stąd jest pewnym zaskoczeniem. Zresztą Zły nawet pokonany powraca na końcu, i to w sposób wskazujący na pełne „odrodzenie”. I ta niezniszczalność potęguje jego grozę.

Chmiel: Czyżby twórcy zostawiali sobie furtkę dla kontynuacji?

Przejdźmy jednak do najlepszej sceny w filmie. Scena ta „robi” film i jest naprawdę świetnym kolażem złożonym ze świetnych zdjęć, udanego montażu (przyspieszanie i zwalnianie wykonane są perfekcyjnie) i zaskakującej, ale świetnie wkomponowanej, muzyki.

Recenzja jest krótka, bo jest to film „standardowy”. W sam raz, żeby wziąć go z wypożyczalni na jakiś ciemny wieczór i spokojnie obejrzeć.

Ceti: Osobiście myślę, że utwór byłby bardziej udany, gdyby napisał go jakiś znawca horroru (np. King); tym niemniej nie narzekam, choć wolałbym zapłacić kilka złotych mniej.

Ceti & Chmiel

***“Statek widmo”** (“Ghost ship”). USA 2002. **Reżyseria:** Steve Beck. **Scenariusz:** Mark Hanlon i John Pogue. **Obsada:** Gabriel Byrne (Murphy), Julianna Margulies (Epps), Ron Eldard (Dodge), Desmond Harrington (Ferriman), Isaiah Washington (Greer), Alex Dimitriades (Santos), Karl Urban (Munder). **Muzyka:** John Frizzell. **Zdjęcia:** Gale Tattersall. **Efekty specjalne:** Brian Cox.*

Affleck w skórze diabła

W ostatnich latach widzieliśmy sporo ekranizacji znanych amerykańskich komiksów. Chyba wszystkie one były udane. Jest ku temu zapewne wiele powodów, ale na pewno jest widoczny jeden trend – wszystkie są oparte na komiksach Marvela, co wiąże się z ciekawszymi niż gdzie indziej postaciami.



Ceti: Osobiście zawsze wolałem Spidermana niż Supermana, a z czasem ta preferencja się umacniała.

Chmiel: Zawsze wolałem komiksy Marvela. Ich świat jest chyba bardziej bliski szeroko pojętej „rzeczywistości”.

„Daredevil” kontynuuje tę świetną tradycję. Powiedzmy sobie od razu – nie jest to obraz wybitny czy arcydzieło. Nie wykorzystuje jakiś przełomowych technik czy nowych ujęć. Mimo tego jednak film jest świetną rozrywką, szczególnie dla miłośników komiksów, takich jak my.

Chmiel: I o to powinno przede wszystkim chodzić – o dobrą zabawę w kinie.

Ben Affleck jest w swej roli zaskakująco dobry. Co jest miłą niespodzianką po ostatnim filmie z jego udziałem, jaki recenzowaliśmy, czyli „Sumie wszystkich strachów”. Jest wiarygodny jako niewidomy, jako adwokat i jako Daredevil. Razem stwarza bardzo dobrą kreację.

Ceti: Miejscami przypominał mi młodego Toma Cruise’a (np. z „Top Gun”).

Zresztą wszyscy aktorzy pierwszoplanowi wykonują niezłą robotę – Jennifer Garner jako Elektra (szkoda, że nie oddycha głębiej w sukni balowej), Michael Clarke Duncan jako Kingpin (głos, sylwetka, zachowanie – idealnie pasuje), Collin Farrell jako Bullseye (świetnie zagrana postać, świetnie wymyślona postać!).

Chmiel: Rzeczywiście – każdy z tych aktorów potrafił stworzyć charakterystyczną postać. Naprawdę znakomicie pokazano Bullseye i Kingpina.

Film jest oczywiście zrealizowany w konwencji komiksu – której trzyma się konsekwentnie. Widać to szczególnie w scenach akcji – wszystkie postacie prezentują sztuczki i umiejętności znane z azjatyckich filmów, zabijają spinaczami, uchylają się przed pociskami, etc. Zresztą występują też dodatkowe „nie-do-końca-możliwości” – wyposażenie Daredevila, szybka miłość, itd. Wszystko to jednak wpasowuje się w konwencję i świetnie ją wypełnia. Niczego innego nie należało się spodziewać.

Humor to kolejny element obecny zarówno w komiksach, jak i – w odpowiednim stopniu – w ekranizacji. Nie będziemy Wam psuli oglądania, przytaczając go tutaj. Dość uprzedzić, że warto mieć uszy i oczy otwarte, bo co nieco może umknąć.

Jak już pisaliśmy, efekty specjalne nie są zbyt nowatorskie. Przyjęto jednak dobrą konwencję pokazywania „mocy’” Daredevila i utrzymano ją konsekwentnie przez cały film. Komponuje się ona dobrze z innymi elementami obrazu.

Mówiąc wprost – warto.

Chmiel: Ale jedna rzecz nie daje mi spokoju – tłumaczenie. Zostawię Waszej spostrzegawczości poszczególne potknięcia, jednak nietrudno jest je znaleźć, wierzcie mi..

Ceti & Chmiel

***“Daredevil”**. USA 2003. **Reżyseria:** Mark Steven Johnson. **Scenariusz:** Mark Steven Johnson. **Obsada:** Ben Affleck (Matt Murdock/Daredevil), Jennifer Garner (Elektra Natchios), Colin Farrell (Bullseye), Michael Clarke Duncan Wilson Fisk/Kingpin), Jon Favreau (Franklin Nelson). **Muzyka:** Alex Band i Graeme Revell. **Zdjęcia:** Ericson Core. **Kostiumy:** James Acheson. **Efekty specjalne:** Mike Edmonson.*

To boldly go where no Star Trek has not gone before

Odpuśćmy sobie mądre dywagacje rodem z “Gazety Wyborczej” o wartościach, jakie niesie „Star Trek”, i jak to wpłynęło na jego popularność. Zapewne są to słuszne uwagi, ale pozostawmy to innym. „Star Trek” to serial i filmy z ciekawą fabułą i ciekawymi postaciami; świat się zmienia (ale powoli, z sezonu na sezon), jest spójny mimo 30 lat zmian, dołożono starań, żeby „udowodnić” naukowo technikę przyszłości. Niestety wiele z tego brakuje w „Nemesis”.

Chmiel: Pamiętając poziom jakości np. serii „Voyager”, należałoby oczekiwać czegoś naprawdę lepszego. I to o parę klas.

Cały film wydaje się być pożegnaniem z fanami serialu i filmów. Może to faktycznie czas. Wcześniejsze seriale, które były bardzo udane, zakończyły się już. Najnowszy serial okazał się porażką. Zainteresowanie minęło. Inne seriale zawładnęły wyobraźnią widzów. O tym pożegnaniu może świadczyć kilka fragmentów filmu, które wiążą luźne końce.

Jeśli ktoś chce zepsuć sobie niektóre niespodzianki, może przeczytać następujący akapit.

Film zaczyna się od ślubu Riker i Troy – wydarzenia, do którego zmierzały kolejne sezony „Star Trek: The Next Generation”. Pojawia się kapitan (teraz admirał!) Janeway ze “Star Trek: Voyager”. Występuje brat Data i zostaje w końcu wyjaśnione jego człowieczeństwo. Niekończący się konflikt z Romulanami zostaje chyba ostatecznie rozwiązany.

I wracamy do „normalnego” artykułu.

Powyższe jest bardzo ciekawe. Najsilniejszym elementem filmu są sceny dialogów pomiędzy Piccardem i jego klonem wychowanym wśród Romulan. W tym wątku widzimy „Star Trek” w całej swojej krasie. Na tym jednak siła filmu się kończy.

Fizyka i technologia nie trzymają się jakichkolwiek zasad. Zrezygnowano w ten sposób z elementu, który utrzymywał przy telewizorach i ekranach filmów wielu widzów. Jest to nie tylko błąd, jest to przestępstwo popełnione przeciwko temu fenomenowi pop kultury.

Co do zachęty do oglądania filmu, można tylko powiedzieć, że fanowie i tak go obejrzą, a dla nie-fanów nie będzie niósł szczególnych wrażeń.

Chmiel: I to by było na tyle. Raczej wątpię by „Star Trek” spektakularnie powrócił na ekrany (telewizorów i kin). A szkoda.

Ceti & Chmiel



***„Star Trek: Nemesis”**. USA 2002. **Reżyseria:** Stuart Baird. **Scenariusz:** John Logan. **Obsada:** Patrick Stewart, Jonathan Frakes, Brent Spiner, LeVar Burton, Michael Dorn, Gates McFadden, Marina Sirtis, Ron Perlman. **Muzyka:** Jerry Goldsmith. **Zdjęcia:** Jeffrey Kimball.*

Jackson zawalił dwie wieże

Pierwszą część „Władcy pierścieni” oglądałem naprawdę z wielką przyjemnością, o czym niech świadczy fakt, że sześć razy odwiedziłem w tym celu kino. Ten film wciągał - choć sporo w nim było błędów logicznych, lecz na szczęście nie rzucały się w oczy. Dlatego też nie mogłem się doczekać „Dwóch wież”. Doczekałem się w końcu. Niestety...

O ile w pierwszej części jest wiele miejsca na poznanie postaci oraz klimat Śródziemia jest wspaniale zarysowany, to w części drugiej oglądamy dość naiwną opowiastkę fantasy, której kulminacją ma być wielka bitwa, na którą widz czeka od samego początku. Choć film zaczyna się ciekawie, to potem niestety (przynajmniej dla mnie) jego poziom spada niczym ów Gandalf z Balrogiem. A co mi konkretnie chodzi? Froda i Sama się nie czepiam, zachowali charakter z pierwszej części, człowiek łatwo się z nimi identyfikuje i momentami naprawdę niepokoi o ich los, Gollum też jest bez zarzutu (bardzo fajny pomysł z pokazaniem jego dyskusji samego ze sobą z dwóch ujęć kamer). Głównie zastrzeżenia mam do Aragorna, Legolasa i w szczególności Gimliego. Z krasnoluda – twardego, dumnego wojownika – Jackson zrobił trefnisia rozdzielonej drużyny (być może po to, aby przyciągnąć do kina więcej dzieci, które będą rechotać widząc zasapanego, przygniecionego lub spadającego z konia krasnoluda, zabawnie komentującego własne wpadki). Szczytem głupoty jest jego dialog z Legolasem na murach twierdzy, gdy wśród padających gęsto wokół trupów, deszczu strzał oraz morza wrogów wymieniają się informacjami na temat ilości zabitych orków. Wracając jeszcze do wspomnianego zasapania - w rzeczywistości po godzinie takiego biegu byłby kilka kilometrów w tyle za swymi towarzyszami. Aragorn w tym filmie gra nadal postać szlachetnego twardziela, który co prawda mówi rzadko, ale kiedy się już odezwie, to z takim ładunkiem patosu, że co mniej odporni mogliby się przewrócić. Bez zarzutu wypada jedynie Legolas (pomijając ów dialog w czasie bitwy), który głównie nic nie mówi, a wypatruje. A, właśnie - rewelacyjna scena ze wskoczeniem na konia !!!

Merry i Pippin wypadają OK, choć mam dwa poważne zastrzeżenia natury logicznej. Pierwsza (dotyczy głównie Enta) - Drzewiec prowadzi ich do Isengardu (sam), gdzie staje jak wryty na widok zniszczeń, następnie zaś buczy i naraz... z lasu wychodzi tłum entów, które, choć nie wiadomo skąd się wzięły, nawet nie zatrzymują się, aby spojrzeć na zniszczenia, które na Drzewcu wywarły piorunujące wrażenie, a od razu lecą bić chłopaków Sarumana (do tego też wrócę). W czasie bicia wspomnianych dwa małe hobbity, siedząc na Drzewcu, mają świetną zabawę ciskając w orków kamieniami. Pytanie - skąd je mają? Wątpię, aby Drzewiec stawał tylko po to, aby usłużnie je podawać. Inna sprawa, że rozbawione Niziołki za nic mają świstające wokół strzały, choć niektóre z nich są nawet w wersji samozapalającej (napalm-arrow?). Saruman to osobny epizod. Właściwie trzy w całym filmie. W pierwszym efektownie fika koziołka w tył (sądząc po tym, w swoim wieku nieźle jeszcze się trzyma), w drugim opieprza Grimę, żeby mu z ogniem do prochu nie podchodził, a następnie szczuje armię na ludzi, w trzeciej zaś scenie lata jako ten wicher polny po balkoniku z prawa na lewo i odwrotnie, przypatrując się, jak enty niszczą mu jego mini-Mordor i bąka nawet nie śmiąc puścić w jego obronie. I tak z przebiegłego zdrajcy, jakim był w pierwszej części, zostaje inną wersją Dziadka Mroza, który spuści niegrzecznym Entom baty, ale dopiero w zimie.

Dużo pisano, że Grima będzie rewelacyjny. Głównie polega to na wytrzeszczu oczu i czarnym ubraniu, które wyróżnia go od nieknującej Eowiny (żeby nawet daltoniści zobaczyli). Niestety, rola ta została potraktowana po macoszemu i aktor nie mógł wykazać się należycie. Zamiast chytrego szpiega mamy tchórzliwego watażkę, którego siłą opiera się na kilku zbrojnych. I to jego cały wpływ na dwór Rohanu. Co do Theodena, nie mam zastrzeżeń.

Gandalf w tej części występuje na zasadzie „pojawiam się i znikam”. Zmian w osobowości (a jest to niby inna postać) jakoś nie widać ani o gram. Pokrewnie (jeśli chodzi o magię), ciekawie zrobiono telepatyczną rozmowę pomiędzy Galadrielą a Elrondem. Nie wiem tylko doprawdy, dlaczego Elfy ni stąd, ni zowąd dają chodu. Plus za oryginalny pomysł pt. „Arwena i Aragorn w przyszłości”.

Ogólnie rzecz biorąc – film jest bezduszny, zimny w odbiorze, przeładowany efektami specjalnymi, pomija po prostu człowieka. Nie poznajemy bliżej „nowych” postaci (a stare znamy), gdyż nie ma na to czasu. Jest za to poszatkowana innymi scenami bitwa, która przez to traci na impecie i dynamiczności. Jeśli chodzi o mnie, nie zrobiła ona na mnie wielkiego wrażenia. Cała armia orków wygląda po prostu jak ciemne morze, i tak się zastanawiam, czemu to morze nie wlało się do Helmowego Jaru, mimo iż była tam duża wyrwa? Następne pytanie à propos bitwy – gdy Aragorn wraz z Theodem wyjechali na koniach, aby umrzeć w boju (jak na bohaterów przystało), co robili pozostawieni wewnątrz napastnicy? Jak na mój gust, powinni wedrzeć się do podziemi i wyrżnąć kobiety oraz dzieci. A potem sami zabarykadowaliby się od wewnątrz i role zmieniłyby się – to ludzie próbowaliby zdobyć zamek.

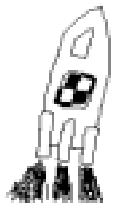
Oczywiście, to tylko moje zdanie, ale mam nadzieję, że ktoś je przeczyta i sam nad tym pomyśli. „Ja jednak wierzę, że ludzi dobrej woli jest więcej”, więc mam nadzieję, że „Powrót króla” zmaże nieudaczność „Dwóch wież”.

Przyczepię się jeszcze do muzyki, która jest po większej części kalką soundtracku z poprzedniego filmu, a kończy się dość głupią pioseneczką, dobrą w sam raz na „Dobranockę”.

Henryk Tur (www.gildia.com)



W następnym wieku (12)



Czytelnik z popiołów

Raya Bradbury’ego nazywano kiedyś „jedynym dobrym autorem SF” – ponieważ „wykorzystał zewnętrzne cechy sf, by zamaskować i uczynić bardziej przekonywającymi swe czarodziejskie zainteresowania”. Znamy to sformułowanie? Znamy i nie lubimy: stary pogląd odmawiający jakiejkolwiek wartości literaturze popularnej, m.in. fantastyce – dzieła wartościowe umieszczający automatycznie w „głównym nurcie” czy też „literaturze pięknej”. Tym niemniej w czasie powstania „451° stopni Fahrenheita” – dokładnie 50 lat temu – nie było to zdanie całkiem pozbawione racji. Nie nadszedł jeszcze „przełom humanistyczny” lat 60–tych, a sf jawiła się jako średnio napisane utwory wyrażające zachwyt nad technicznym postępem, zużywające sporo kartek papieru na opisy technicznych wynalazków.

Pod względem warsztatowym Bradbury nie jest wcale najlepszym pisarzem: Brian Aldiss określił nawet jego światy jako „przedszkolne”. Istotnie, jego bohaterzy nie imponują rysem psychologicznym, są uproszczeni; „jego postaci działają z dziecinnie pojmowanych motywów, czy to dobrych, czy złych”. Jeden z bohaterów „Kronik Marsjańskich” potrafi bezmyślnie zastrzelić ostatnich przedstawicieli Marsjan, wytępionych uprzednio przez jakąś przywleczoną z Ziemi chorobę, w paranoicznej obronie postawionego na środku pustyni kiosku z parówkami. Postaci z „Fahrenheita” są często równie karykaturalne w swej głupocie (o czym przekonamy się za chwilę). O wartości twórczości Bradbury’ego świadczy jednak co innego: to, co przekazywał w swoich utworach. Był on jednym z nielicznych w owych latach autorów podchodzących do sf „od strony humanizmu”: mniej dbających o sztafaż, a bardziej o przesłanie. Wpisał się tym w tradycję Herberta George’a Wellsa i Aldousa Huxleya, porzucił natomiast spuściznę po Julesie Vernie – będąc niejako zwiastunem kierunku, w którym poszła cała fantastyka dopiero od lat 60-tych.

„451° Fahrenheita” to typowa dystopia: pesymistyczna wizja świata, który rozwinął się z nam współczesnego, model rzeczywistości skonstruowany na bazie teraźniejszych lęków. Autor „wziął na warsztat” kulturę masową, której symbolem jest czytelnictwo: w swojej powieści przedstawia świat, w którym ludzie przestali potrzebować książek, a mówiąc dosłownie – wiedzy. Tytuł jest znaczący – oznacza temperaturę, w której papier zaczyna płonąć. Główny bohater, Guy Montag, jest strażakiem. Dziwny to jednak strażak: straż ogniowa zajmuje się tu paleniem, a nie gaszeniem, jej zadaniem jest niszczenie wszelkich objawów niezdrowego czytelnictwa. Karą za posiadanie książek jest ich spalenie razem z całym domem i dobytkiem. Domy są zbudowane z odpowiednich materiałów, tak więc same z siebie nie zapalą się; i tak było od początku istnienia straży, jak dowodzą regulaminy.

Istotne dla powieści jest to, że w przeciwieństwie do większości dys- i antyutopii, u Bradburyego nikt nie narzucił „koszmarnego świata”, nie ma żadnych „złych”, żadnego jednoznacznego przeciwnika. Tutaj ludzkość sama jest sobie winna, sama doprowadziła do upadku kultury, po prostu – zgłupiała od dobrobytu. Tak właśnie należy traktować „Fahrenheita”: jako diagnozę, antycypację „sytego społeczeństwa”, ostrzeżenie przed zagrożeniami kapitalistycznego społeczeństwa masowego.

Społeczeństwo to jest w najwyższym stopniu zniewolone wizualnością, jego kultura uległa sprymitywizowaniu. Ludzie spędzają czas otoczeni „ścianami telewizyjnymi”, wchłaniając kolorową papkę serwowaną skądś z góry. Skąd – nie dowiemy się, nikogo to bowiem nie obchodzi. Ludzi nie informuje się o niczym, a my błądzić będziemy razem z bohaterami powieści. Jakiś czas temu rezygnowano coraz bardziej z przedstawiania informacji, wszystko streszczano, ludzie chcieli mieć wszystko w jak najmniejszej pigułce – aż w końcu doszło do tego, że ich wiedza o literaturze opiera się na książkach w rodzaju „Teraz nareszcie możecie możecie przeczytać wszystkich klasyków i utrzymać się na równym poziomie ze swoimi sąsiadami”. Potem publikowano „streszczenia streszczeń streszczeń”, o polityce informowano w paru zdaniach. Wreszcie nastąpiło „odrzucenie wszelkich niepotrzebnych, zajmujących czas myśli”. Ludzie nie mają teraz pojęcia, co to takiego „Hamlet”. Zajmują się **swoim własnym szczęściem**, które jest dla nich wartością najwyższa i jedyną. Po co czytać książki, przecież „żadna z nich nie zgadza się z drugą, a ludzie z tych książek nigdy nie żyli”. A poza tym są okrutne. Pani Bowles, znajoma małżeństwa Montagów rozpłakuje się po usłyszeniu smutnego wiersza i stwierdza: „Jak można ranić innych ludzi? Przecież jest wystarczająco zła na świecie”. Wobec tak powszechnej zasady przyjemności strażacy nie są żadnymi „żandarmami”: oni stali się tylko „oficjalnymi cenzorami, sędziami i egzekutorami”, wyrazicielami woli **większości** społeczeństwa.

Inna przyczyna upadku książek to rozbuchana poprawność polityczna. Każda drobna mniejszość nie zgadzała się na jakieś elementy tekstów, aż w końcu „**publiczność** [podkreśl. moje – M.S.] pozwoliła przeżyć tylko książkom z komiksami i trójwymiarowym czasopismom pornograficznym. Beaty, szef straży pożarnej i przełożony Montaga, tłumaczy mu, gdy ten zaczyna objawiać wątpliwości: „Wszyscy muszą być podobni jeden do drugiego. Każdy człowiek wizerunkiem innego człowieka. Wtedy wszyscy są szczęśliwi, bo nie ma gór, by się przed nimi zginać ze strachu i porównywać się z nimi. Książka to naładowana broń w sąsiednim domu. Spal ją, rozładuj broń. Rozbij mózg człowieka. Skąd wiadomo, kto mógłby się stać celem oczytanego człowieka?”. Dzisiaj, po całym półwieczu, zaczyna się wreszcie odchodzić od tej – podniesionej tu do absurdu – zasady, ale problem wcale nie znikł: także wśród naszych czołowych polityków znaleźć można chętnych do oficjalnego wykreślania „niewłaściwych” słów ze słownika.

Ludzie w powieści żyją w myśl zasady „*carpe diem*”; jednak jest to „używanie życia oderwane od życia” – puste, bezsensowne, pełne hałasu i fajerwerków, egoistyczne. „Nikt dziś nie ma czasu dla drugiego” – zauważa młoda sąsiadka Montaga, Klarysa McClellan. Jej wuj dodaje: „Właściwie żyjemy w epoce sloganu »po użyciu – wyrzucić«. Wysmarkaj się w innego człowieka jak w chusteczkę, wrzuć do klozetu i spuść wodę”. Wskazuje na to stosunek sąsiadek Montagów do dzieci. Pani Phelps w ogóle ich nie ma, jest nowoczesna. Natomiast pani Bowles urodziła oboje swoich dzieci za pomocą cesarskiego cięcia, choć było to absolutnie niekonieczne – szło o figurę. Dzieci to ekstrawagancja, ale może sobie na nią pozwolić, gdyż nie sprawiają jej żadnego kłopotu – na każde 10 dni 9 spędzają w szkole. „Kiedy są w domu trzy dni na miesiąc, wcale mi nie przeszkadzają” – stwierdza. „Wsadza się je do »salonu« [telewizyjnego] i przekręca kontakt. To zupełnie jak pranie: napycha się pralkę i zatrzaskuje przykrywę”.

Inny aspekt używania życia obrazuje ulubiony program żony Montaga, Mildred i jej przyjaciółek: nadawca przysyła scenariusz filmu, a jego bohaterowie patrzą na widza i oczekują na jego wypowiedź w odpowiednim momencie. Zapytana przez męża, o co właściwie chodzi w tym przedstawieniu, Mildred odpowiada: „Mówiłam ci już. Więc są tam ci ludzie: Bob, Ruth i Helena...”. Montag zwie ich „Rodzinką”. W zdenerwowaniu zaś nazywa ich „bełkoczącą gromadą małp, która nie mówi nic, nic, nic, a mówi to głośno, głośno, głośno”. Treść straciła wszelkie znaczenie – ważny jest kolor, fajerwerki, hałas. Mildred gdy nie ogląda telewizji, słucha bez przerwy muzyki z „muszelkami radiowymi” na uszach.

Stąd już tylko krok do konstatacji: ci ludzie są zwyczajnie głupi! A jeśli nie głupi, to przynajmniej zaślepieni – zaślepieni w dążeniu do prywatnej przyjemności. Zupełnie absurdalnymi kryteriami kierują się np. przy wyborze prezydenta: decyduje tu wygląd zewnętrzny i brzmienie nazwiska. Ten z kandydatów, który w końcu przegrał, był za niski, za gruby, a w dodatku bełkotał. Ostatecznie dyskwalifikujący jest jednak następujący argument: „On zawsze dłubał w nosie. To mnie doprowadzało do szału”.

Zasada egoistycznego dążenia do szczęścia rządzi także szkolnictwem. „Wbij w nich tak cholernie dużo suchych faktów, żeby czuli się nasyceni i niebywale »zdolni« posiadając taką wiedzę. Wtedy będzie im się zdawało, że myślą, i będą mieli poczucie ruchu nie ruszając się. I będą szczęśliwi, ponieważ fakty tego rodzaju nigdy się nie zmieniają. Nie dawaj im żadnego śliskiego materiału w rodzaju filozofii i socjologii, by wiązała te fakty. **W ten sposób osiąga się tylko melancholię**” – mówi kapitan straży, Beatty. Ludzie uczą się zresztą niewiele, zignorowano naukę o języku. Współczesnym nie jest potrzebne nic poza umiejętnością „wciskania guzików, przekręcania kontaktów, dociskania śrubek i nakrętek”. Człowiek, który potrafi naprawić swoją ścianę telewizyjną, jest już skończonym szczęściarzem.

Dokładnie przeciwny pogląd wygłasza wspomniana już 17–letnia Klarysa. Cechuje ją zupełnie nietypowe podejście do życia: zrezygnowała ze szkoły, ponieważ nie uczą w niej myślenia. „Czy wie pan, że nigdy nie zadajemy pytań, a przynajmniej większość nie zadaje?” – pyta. „Oni po prostu wbijają w człowieka odpowiedzi”. Klarysa zajmuje się rzeczami, których nikt nie robi: spaceruje, patrzy w niebo, wybiera się na wycieczki do lasu, wystaje na deszczu. Jednym słowem, jest **aspołeczna**. Gdy niespodziewanie ginie w wypadku, nikogo to nie zajmuje. Żona Montaga, Mildred dopiero po czterech dniach informuje go o tym – po prostu zapomniała mu o tym powiedzieć wcześniej. Beatty stwierdza: „Nie chciała wiedzieć, jak jakaś rzecz jest zrobiona, lecz dlaczego. Jeśli to trwa dłużej, człowiek staje się bardzo nieszczęśliwy. Lepiej dla tej dziewczyny, że umarła”.

Klarysa to jednak wyjątek, większość natomiast cechuje wygodny konformizm: ludzie bardzo chcą żyć zgodnie z normami, wierzą we wszystko, co się im powie, myślą tak, jak trzeba, ponieważ w ten sposób nie trzeba się wysilać.

Pod wpływem dziewczyny Montag zaczyna się zastanawiać nad swoim życiem, zdaje sobie sprawę, że w ciągu dwóch minut niszczy nierzadko dzieło, którego napisanie zajęło autorowi całe życie. Kilka dni później dochodzi do zdarzenia, które zmienia całkowicie jego światopogląd: podczas jednej z akcji właścicielka zmusza strażaków do ucieczki i podpala się razem ze swoimi książkami. Przed śmiercią powtarza słowa, które w 1655 roku wypowiedział niejaki Latimer, skazany na stos za herezję: „Bądź mężczyzną, mistrzu Ridley. Z Bożą pomocą zapalimy dziś w Anglii taką świecę, że, jak wierzę, nigdy nie da się jej zgasić”. Jej śmierć na nic się jednak nie zdaje – pozostaje niezauważona. Wydarzenie to wywołuje jednak jeden doniosły efekt: wstrząśnięty Montag wynosi z biblioteki egzemplarz „Biblii”. Widok płonącej kobiety nie pozwala mu zasnąć, sprawia, że postanawia już nigdy nie pracować jako strażak.

Oznacza to jednak, że zostaje sam przeciw wszystkim: konformizm obowiązuje bezwzględnie. Jego żona, gdy mówi jej o spalonej kobiecie, nie rozumie wcale jego rozterek:

– No więc co?
– Spaliliśmy kobietę razem z jej książkami.
– Więc?
– Spaliliśmy książki Dantego, Swifta i Marka Aureliusza.
– To zdaje się Europejczyk?
– Coś w tym rodzaju.
– Czy to nie był radykał?
– Nigdy go nie czytałem.

– To był radykał.

Pod wpływem emocji Montag wyjmuje ze skrytki zgromadzone przez siebie książki i zmusza Mildred do ich lektury. Jej przyjaciółkom, zgromadzonym w salonie telewizyjnym, odczytuje natomiast wiersz – czym przebiera już miarę. Donoszą na niego zarówno pani Phelps i pani Bowles, jak też jego własna żona. Podczas nocnego dyżuru Montag zmuszony jest spalić własny dom (wcześniej widzi Mildred z walizką, powtarzającą: „Biedna »Rodzinka«, och, wszystko stracone, wszystko teraz stracone...”). Odtąd już ostatecznie stanie się wyrzutkiem, zostanie zmuszony do ucieczki, a praworządni obywatele z ulgą zobaczą na ekranach jego sfingowaną śmierć.

Jedyną szansą dla Montaga jest teraz żyjąca w ukryciu grupka renegatów. Ich przywódca, Granger, wyjaśnia Montagowi, że władze pozwalają im funkcjonować, ponieważ trzymają się na uboczu i są grupą marginalną. Nigdy też nie złapano ich na posiadaniu nielegalnych książek – bowiem wszystko trzymają w głowach. Powieści, traktaty, podręczniki... Istnieją nawet wsie, których pojedynczy mieszkańcy „składają się” na całą książkę. „Pamiętający” są cierpliwi – gotowi są przekazywać swą wiedzę latami i pokoleniami. „Oczywiście w ten sposób wiele zostanie stracone” – mówi Granger. „Ale ludzi nie można zmusić do słuchania. Powinni przyjść sami we właściwym czasie, dziwiąc się, co się stało i dlaczego świat eksplodował pod nimi. To nie może trwać wiecznie”.

Wzmianka o „eksplozji świata” nie jest pozbawiona podstaw: z dialogów dowiadujemy się, że Stany Zjednoczone rozpętały już i wygrały dwie wojny atomowe, a obecnie huk przelatujących co kilka godzin nad głowami odrzutowców zwiastuje rychły wybuch trzeciej. Władze zmobilizowały 10 milionów mężczyzn (ludziom mówi się, że milion, bo tak lepiej brzmi). Obiecują też, że będzie ona trwała krótko, kilka dni – dlatego pani Phelps nie martwi się powołaniem swego męża. Beaty charakteryzuje krótko tę postawę: „Każdy obecnie wie i jest absolutnie pewien, że nic nie może się zdarzyć »mnie«. Inni umierają, ja żyję. **Nie ma konsekwencji i odpowiedzialności** – z tym wyjątkiem, że jednak jest. **Kiedy konsekwencje zaskakują, jest już za późno**”.

Uderzenie nadchodzi niespodziewanie szybko. Jeszcze tej samej nocy na miasto spadają na bomby – jak na siedlisko zła, z którego „wyprowadzono” jedynego sprawiedliwego. Granger prorokuje zagładę, wyniszczenie się ludzi nawzajem. Ale jednocześnie zastanawia się, co zrobią ci, którzy przeżyją, gdy zgasną ściany telewizyjne i umilknie radio. Otóż nie będą potrafili znaleźć się wśród ciszy – przyzwyczajeni są do wtłaczanej im do głów powodzi informacji, tak, że nie mają czasu na ich przemyślenie, nie mówiąc już o myśleniu w ogóle. Na opamiętanie wtedy – poniewczasie, ale jednak – liczy Granger. Wie, że musi dojść do katastrofy, znajduje jednak w sobie optymizm: „Ale w człowieku istnieje cos cudownego: nigdy nie można go tak zastraszyć ani zniechęcić, by zrezygnował z budowania wszystkiego na nowo, ponieważ wie, że jest to ważne i godne budowania”.

Tymczasem jednak ludzie **żyją wyłącznie dla siebie**, pewnie zmierzając ku katastrofie. Bezwolnie poddają się dyktaturze głupoty, są szczęśliwi nie wiedząc. W trakcie ucieczki Montag słucha reklamy w metrze: hipnotyzująca, hałaśliwa muzyka, rytmiczne powtarzanie sloganów w setkach najrozmaitszych form powodują, że ludzie podrygują bezwolnie, nieświadomie powtarzając hasło reklamowe. Socjotechnika w reklamie doszła do takiego poziomu, że wysiadłszy z metra pasażerowie wiedzą po prostu, iż „pasta Denhama jest najlepsza”, i prawdopodobnie kupią ją zaraz w najbliższym sklepie. „To nie ich wina”, broni ich jednak niejaki Faber, były wykładowca anglistyki, gdy Montag rozwścieczony jest głupotą żony i jej przyjaciółek. „Nie wiedzą, że to tylko świecący meteor, który musi uderzyć, gdy oni widzą tylko błysk”.

„Dokąd my zmierzamy? Czy książki nam pomogą?” – pyta Montag Fabera. Ten wylicza **trzy warunki**, których spełnienie jest potrzebne do **powstrzymania katastrofy**. Po pierwsze, wysokiej jakości wiedza o życiu (czyli książki). Po drugie, czas wolny, aby tę wiedzę przetrawić. „A czynnik trzeci: to prawo postępowania w myśl tego, czego się nauczymy ze współdziałania dwóch pierwszych czynników”. W świecie „Fahrenheita” pod dostatkiem jest tylko tego drugiego, aż do przesytu; natomiast wiedzy i prawa do myślenia nie uświadczy się.

Bradbury postuluje tu ustami swych postaci prawo fundamentalne dla ludzi myślących: wolność postępowania według własnych poglądów (oczywiście poza skrajnymi wypadkami). Wszelkie narzucanie z góry, wiedza *à priori*, co jest dla jednostki najlepsze, jest zawsze fałszywa. W świecie „451° Fahrenheita” wolności tej nie ma. Istnieje jednolita dla wszystkich „norma niemyślenia”, ludzie mają ją wyznawać, szkoły wtłaczać uczniom, a odstępstwo od niej jest karane. Czy stoją za tym jakieś konkretne osoby? Nic na to nie wskazuje, i to jest właśnie w tym świecie najgorsze: ludzkość sama „utonęła” w powodzi informacji.

Nie należy w tym miejscu absolutyzować znaczenia „książek” i ich (swobodnego) czytelnictwa: to tylko symbol ogólnego dążenia do wiedzy i, wynikającej z tego dążenia, wolności postępowania według własnych poglądów. Bradbury zauważa, że potrzeba wiedzy zaczyna zanikać, i stąd stosuje swoje ostrzeżenie – upadek czytelnictwa to przejaskrawiona metafora ogólnego upadku kultury. „451° Fahrnheita” ukazuje perspektywy rozwoju cywilizacji technicznej, w której niewielką garstkę stanowią specjaliści, a reszta nie musi wiedzieć nic poza tym, jak włączyć „Rodzinkę” w „salonie”. Świat, w którym się nie myśli, oddaje się w szpony populizmu i nieuchronnie kieruje ku samozagładzie. Czy jednak zagłada jest ostateczna? Zdaniem autora – niekoniecznie.

Ludzkość bowiem wielokrotnie już przechodziła takie zagłady, i za każdym razem podnosiła się mimo wszystko, podnosiła się w dodatku mądrzejsza. Granger opowiada: „Niegdyś, dawno przed Chrystusem, był taki diabelnie głupi ptak zwany feniksem. Co paręset lat budował sobie stos pogrzebowy i spalał się na nim. Musiał być bliskim krewnym człowieka. Lecz za każdym razem po tym spaleniu powstawał z popiołów, odrodzony całkowicie na nowo. I wydaje się, że my robimy to samo, stale od nowa, lecz mamy jedną cechę, której feniks nigdy nie posiadał. My wiemy, co za cholerne głupstwo właśnie popełniliśmy. Znamy wszystkie cholerne głupstwa, które popełniliśmy przez tysiące lat, i ponieważ to wiemy i zawsze to mamy przed oczyma, któregoś dnia przestaniemy wznosić te przeklęte stosy pogrzebowe i wskakiwać na nie. W każdym pokoleniu zbieramy więcej ludzi, którzy pamiętają”.

Wymowa „451° Fahrenheita” nie jest zatem jednoznacznie pesymistyczna; tym niemniej jest jednak pesymistyczna. Katastrofa jest nieunikniona, tak samo jak wszystkie dotychczasowe, i można jedynie starać się uratować jak najwięcej przed zagładą. Recepta Bradbury'ego jest, można powiedzieć, nieco „elitarystyczna”: „wiedza + czas na przemyślenie wiedzy + wolność postępowania w myśl przemyślanej wiedzy”. Autor pesymistycznie ocenia zdolność do powszechnego spełnienia tych wszystkich warunków: ludzie nie potrzebują wiedzy, a ci, którzy się jednak uczą, nie przejmują się tej wiedzy rozumieniem. Do mniejszości, do elit innymi słowy – należy chronienie kultury przed upadkiem, odwlekanie tego upadku.

Obecnie można zaobserwować sytuację nieco odmienną od antycypowanej w powieści: Bradbury zajmował się zanikiem dążenia do wiedzy w „sytym” i mającym dużo czasu społeczeństwie. W dzisiejszym świecie Zachodu obserwujemy ogromne przyspieszenie życia, co stwarza nowy, choć rodzący te same skutki, problem: brak czasu na myślenie. Do zagrożeń kultury wymienionych przez autora dochodzi zatem jeszcze jedno. Czy jednak rzeczywiście oznacza to nieuchronną katastrofę? Wydaje się, że to jednak przesada. Zarówno sytuacja społeczna, jak i same postaci są u Bradbury'ego zdecydowanie przerysowane – co służy świetnie uwypukleniu

problemu, ale też jednocześnie problem ten absolutyzuje. Bo czy „wysokiej jakości wiedza o życiu” to rzeczywiście „jedyny ratunek” dla kultury i cywilizacji, czy nie należy przesadzać z jej „wynoszeniem”?

Dzisiaj, pół wieku po publikacji powieści, zmienia się ogólne nastawienie do nauki: odchodzi się zdecydowanie od racjonalizmu kartezjańsko-newtonowskiego na rzecz przyznania, że człowiek nie jest istotą racjonalną, że oprócz rozumu „składa się” także choćby z emocji. W nowym, rozczarowanym do nauki, tysiącleciu raczej w etyce należałoby upatrywać takiego „środka przeciw zniszczeniu” – przy uznaniu wartości wiedzy, rzecz jasna, ale też bez jej absolutyzowania. W dzisiejszych minimalistycznych czasach wskazuje się raczej na dążenie do „mądrości” i „dobrego życia”, a nie do wiedzy samej w sobie.

Ale nie zmienia to oczywiście w niczym tego, że „451° Fahrenheita” to jedna z najciekawszych analiz „społeczeństwa masowego” w sf – i jedna z najciekawszych dystopii zarazem. O jej wartości świadczy to, że po upływie półwiecza czyta się ją nadal doskonale, a wnioski z niej płynące właściwie nie utraciły aktualności. Powieść Bradbury’ego to doskonały przykład wykorzystania szansy, jaką daje „umowność” i „nierealność” świata przedstawionego w sf: szansy na uniwersalność. Gdy bowiem do umowności dodamy aktualność, to powstaje nie eskapizm, nie „ucieczka od rzeczywistości” – ale metafora.

Michał Szklarski

Ray Bradbury „451 stopni Fahrenheita” („Fahrenheit 451”), Warszawa 1960, wyd. „Czytelnik”. Tłumaczenie: Adam Kaska. Str.: 184.

OD NACZELNEGO

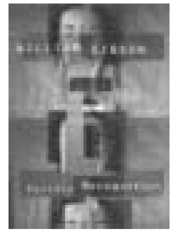
Bardzo lubię pisarstwo Bradbury’ego, ale raczej za jego poetyckość i wymowę: te postacie i sytuacje są często tak uproszczone, że trudno mówić tu o psychologizmie, raczej o symbolizmie (chyba Kałużyński w recenzji z filmu Truffauta napisał, że trudno by było uratować spuściznę i tożsamość ludzkości ucząc się na pamięć powieści Dickensa).
Co do wolnego czasu i książek... Czy mamy go naprawdę tak naprawdę więcej? W dobie kina, telewizji, internetu – coraz trudniej znaleźć ileś tam zimowych wieczorów na przeczytanie "Braci Karamazow" Dostojewskiego, "Wojny i pokoju" Tołstoja, "Nędzników" Hugo, "Czarodziejskiej góry" Manna czy "W poszukiwaniu straconego czasu" Prousta...
Coś w tym jest!!!



Czemu gildiowcy nigdy nie wymyślają tytułów? :P

William Gibson kojarzy się czytelnikom przede wszystkim z wymyślonym przez siebie pojęciem cyberprzestrzeni, które powołał do życia w czasach, gdy Internet był jeszcze w powijakach. Swoją egzystencję zawdzięcza mu również Johnny Mnemonic, futurystyczny kurier, w którego wcielił się na ekranie Keanu Reeves.

W najnowszej książce - „Pattern Recognition” - Gibson zbliża się do teraźniejszości w stopniu największym chyba spośród swoich wszystkich powieści, ukazując świat nas otaczający, znany z codziennego życia. Wielkie korporacje zdają się atakować zewsząd, epatując każdy cal rzeczywistości reklamami swoich produktów. Slogany reklamowe, znaki graficzne i loga wlewają się do naszych umysłów każdego dnia i każdej sekundy.



Bohaterką opowiadanej przez Gibsona historii jest Cayce Pollard, młoda kobieta posiadająca niezwykły talent. Szósty zmysł pomaga jej przewidzieć, które reklamy, slogany marketingowe, trendy (patterny) i znaki graficzne odniosą sukces, a które nie. Efektem ubocznym tego daru jest nadwrażliwość, alergia na otaczający nas zewsząd marketingowo-reklamowy bełkot. Wynajęta przez magnata medialnego Hubertusa Bigenda, podąża śladem tajemniczego filmu wideo, który krótkimi sekwencjami ujawniany jest w Internecie. Akcja toczy się w Londynie, Tokio i Moskwie; ukazuje półświatek hackerów komputerowych, szefów rosyjskiej mafii, maniaków internetowych, przemysłowych sabotażystów i żądnych władzy rekinów medialno-marketingowych. Z pozoru niewinne zlecenie okazuje się być niebezpiecznym zadaniem, o czym Cayce przekonuje się po włamaniu do jej mieszkania.

Gibson obnaża niezaprzeczalny wpływ, jaki wywierają na człowieka i globalną gospodarkę ponadnarodowe koncerny. Kultura konsumpcyjna powoli ogarnia całe społeczeństwa, powodując coraz większe wyalienowanie jednostki ludzkiej, która jest niczym więcej niż zwierzyną w marketingowych łowach.

Pełen przenośni, rześki i energiczny styl Gibsona w połączeniu z ostrą i celną obserwacją rzeczywistości powinny usatysfakcjonować jego zagorzałych fanów, jak i zjednać mu nową rzeszę czytelników.

Tomasz Karpiński

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR # 167

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2
ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37
ADRES INTERNETOWY: informator@gkf.art.pl
STRONA GKF: www.gkf.art.pl
REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Małgorzata Kaczmarczyk, Michał Szklarski (sekretarz redakcji), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski
RYSUNKI: Marek Dąbrowski (3, 7-12, 20, 29), Grzegorz Raczek (35), Sławomir Wojtowicz (1)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 98-10201853-102332412

Nakład 400 *WYDAWNICTWO BEZPŁATNE*